Numer 25. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 21 Czerwca 1931



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Interes na raty.

Pewien młodzieniec oświadcza się kupcowi o rękę córki.

— Co, tylko jedną rękę chcesz mojej córki, — woła oburzony kupiec — a kiedy zażądasz drugiej ręki, kiedy głowy, kiedy wreszcie całą byś sobie wziął? To jest jakiś interes na raty. Wynoś się z mego mieszkania pókiś cały, ja interesów żadnych nie robię na raty.

Testament pijaka.

Gdy nić życia krótką,
Skrócę sobie wódką,
Niech mnie w beczkę włożą,
I taki napis położą:
Tu śpi ten, co całe życie na śmierć się sposobił,
Gdyż sam sobie trumnę zrobił,
I leży w niej nietrzeźwy w pokorze,
Ulituj się nad nim, Boże.



W sądzie.

S ę d z i a: Czy widzieliście, jak oskarżony strzelał do psa swojego sąsiada?

Ś w i a d e k: Widziałem na własne oczy.

S ę d z i a: A czy strzelał ze zemsty?

Ś w i a d e k: Nie proszę pana, ze strzelby.

Praktyczna rada.

— Jaki też najlepszy sposób na plamy od wina czerwonego?

— Nie lać na obrus, ale do gardła.

Dosłownie.

Pewien nauczyciel, chcąc w dzieci wpoić roztropność, radził im, żeby przy ważnych okolicznościach życia liczyły zawsze do stu, zanim przemówią. Skończywszy z nimi stanął sobie przy ciepłym kominku, ale po niejakiej chwili zauważył, że uczniowie liczą coś po cichu. Nagle wszyscy naraz krzyknęli: „Dziewięćdziesiąt ośm, dziewięćdziesiąt dziewięć i sto! Pana nauczyciela spodnie palą się z tyłu!

Przeciwnie.

— A więc panna Zuzanna i pan Golicki pobrali się z miłości?

— Przeciwnie, z nienawiści.

— Jakto?

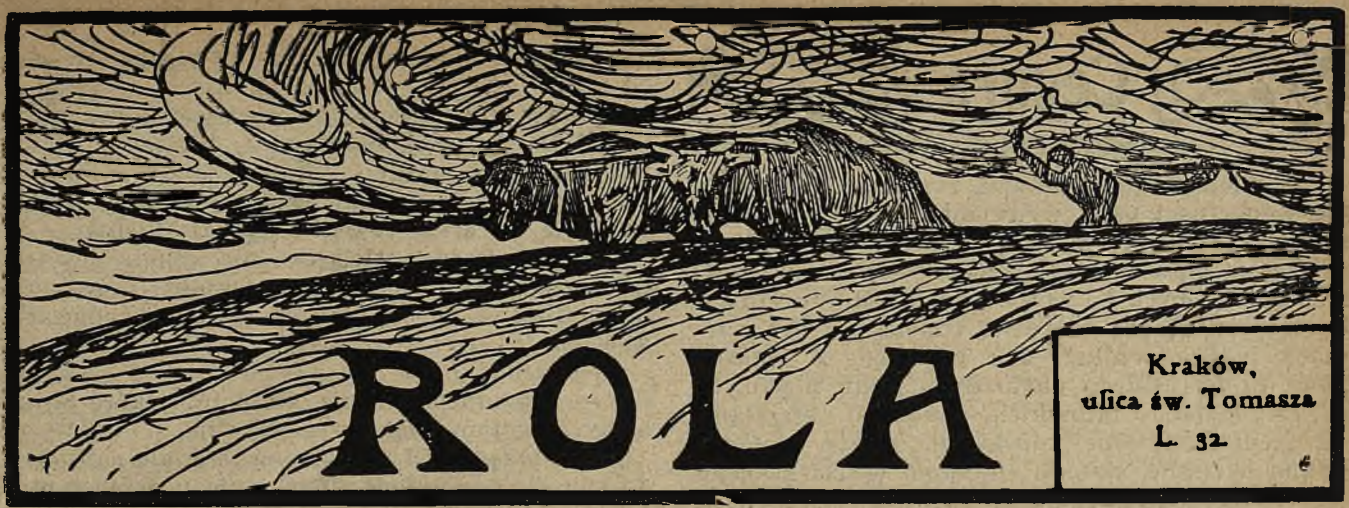
— Ona znienawidziła staropanieństwo, a on ubóstwo.

Wspaniałomyślny dziedzic.

E k o n o m: Wybaczy pan dziedzic, ale ja już pół roku nie dostaję ani pensji, ani ordynarji.

D z i e d z i c: Wybaczam ci.

Numer 25. Rok XIV. Kraków, dnia 21 czerwca 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Co mówią o prawdzie i pracy?

Mówią, że prawda jest tu na ziemi nielubiana i zawsze krecią robotą, faryzeuszostwem i podłością krzyżowana. Powiedz, człowiecze, komu prawdę w oczy, a zobaczysz, jak to będzie przyjęte. Zostaniesz śmiertelnym wrogiem i będą cię nienawidzili. Choć wytkniesz prawdę w najlepszym zamiarze, w najlepszej myśli lub intencji, nic to — spodlony duch ludzki będzie cię unikał... Taki jest ten świat przewrotny.

Czy mamy dlatego unikać prawdy i przestać o niej mówić lub pisać? Nie — nigdy! Prawda, chociaż chwilowo pada, czy też zasnuta jest gęstym woalem kłamstw, intryg, delatorstw, choć jest dławiona i prześladowana, mimo to prawdą pozostanie i wcześniej czy później, niby słońce południa letniego zajaśnieje...

Ukrycie prawdy chmurami podłości nie byłoby jeszcze nieszczęściem w życiu ludzkiem. Największem złem dla człowieka jest zwątpienie, w ślad za czem idzie tylko melancholja, czasem, hipohondrja, bezdenna krucz, a nawet i rozpacz! Tu istota największego zła, która pochłania ofiary.

Kto wątpi w powodzenie swoich poczynań, ten nie wykonuje swej pracy z zamiłowaniem, ale ją spycha, aby się jej tylko pozbyć. Oczywiście praca taka nie może być wydatna, a temsamem nie może ona przynieść należytej korzyści ani temu, kto tę pracę wykonuje, ani temu, dla kogo ją wykonuje. Do każdej pracy trzeba przystępować z całą ochotą, z ochotą ją przeprowadzać i z zamiłowaniem wykończyć, a wtedy przyniesie ona rezultaty i da zadowolenie wewnętrzne. Inaczej szkoda byłoby pracować!

Człowiecze, pamiętaj, przychodzi myśl szczęśliwa, zaklinam cię: Nie wolno nigdy wątpić! Owszem, wraz ze mną krzyknij z pełnych piersi: Precz, precz, wy tony, pełne smutku i udręczeń! Jest bowiem na świecie Bóg, który kieruje losem jednostek i narodów. On jest najwyższą prawdą...

— — — — — — — — — — — — —

Marszałek Piłsudski rzucił ongiś hasło o „wyścigu“ pracy. Cudowna teza — nieprawdaż? Zdawaćby się mogło, że ta praca będzie kipiała w każdym dziale życia społecznego, że szczególnie inteligencja będzie dawała przykłady, jakich mało. Tymczasem, co widzimy? Zniechęcenie. apatję i ręce opadają... Szukamy przyczyny i pytamy gorączkowo: Dlaczego? Tu właśnie sedno rzeczy! Niesprawiedliwość i krzywda, niby meduza rojem migotliwych języków i jadem swym zatruwa ludziom życie... Zamarłe z bólu usta krzyczą: Na co pracować? Wszak dzisiaj po wojnie światowej praca jest przeważnie opluta, wyśmiana, wydrwiona i na cztery wiatry kopnięta. Za uczciwą solidną pracę nikt odpowiednio nie wynagradza, nikt do niej nie zachęca, owszem ją poniża — i każdy radby się wykręcić. Za pracę niema uznania! Najzdolniejszemu, najpracowitszemu i najoszczędniejszemu płaci się taksamo jak leniuchom, filistrom, pędziwiatrom, paliwodom, jołupom i miernotom umysłowym. Wszystkich bierze się pod jeden strychulec, bo krzykacze wołają: U nas wprawdzie w głowie plewa i sieczka — ale zato mamy zdrowy żołądek — choć de facto jesteśmy analfabeci (dosłownie!) ale chcemy błyszczeć i żyć jak alfabeci. Na co więc wykształcenie, nauka, inteligencja, mozoły, książki i trud — na co? To wszystko niepotrzebny grat... Tylko dziwna rzecz, że ludzie z otwartemi głowami załamują ręce, czasem zakląć siarczyście lub pytają, w niemem przerażeniu: Dokąd idziemy z tym duchem wschodu, który zalatuje dziegciem?

(Ergo...)

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Ale miejsce, gdzie główna rozegrała się walka, gdzie Kopyciński padł, wytrzymawszy przedtem bój trzygodzinny — przedstawiało cmentarzysko okropne. Pięćset głów tatarskich walało się w pyle, tyleż piersi zgniecionych i czerepów rozbitych straszliwie. Zdawało się, że jakaś lawina runęła z gór i z niszczącą potęgą wzdłuż jaru przeszła. Z „ptaszeczków“ Kopycińskiego ubyło dwudziestu pięciu, leżeli na ciałach tatarskich, nadziani strzałami, zmiażdżeni kopytami końskiemi, reszta, pokiereszowana okrutnie, skupiła się około wodza swojego, który, nie rozumiejąc jakim sposobem uratowany został, uwalniał się z dławiącego go arkana, a widząc brak jednej ćwierci swojego oddziału, zaczął trupy ptaszków swoich obchodzić, ręce ich krzyżować i na piersi układać, modląc się za dusze ich grzeszne.

— A światłość wiekuista niech wam świeci baranki moje — szeptał śpiewając. Gałgaństwa wszystkie, któreście w życiu swojem porobili, Pan Jezus przebaczy, widząc śmierć waszą dla sprawiedliwości, poniesioną z rąk pohańców paskudnych. Najświętsza Panna Ostrobramska wyprosi wam zmiłowanie i grzechów odpuszczenie u Syna Swego Jedynego. Amen.

Tak modlącego się pana Szymona powracający z pościgu Plichta zastał.

Kopyciński, ujrzawszy rotmistrza, oczom swoim nie wierzył, że go widzi. Gębę otworzył, oczy wytrzeszczył i stał chwilę z rozczepierzonymi palcami rąk swych długich, słowa przemówić nie mogąc. Ale oto wzruszenie ogarniać pana Szymona zaczęło, policzki drżeć, oczy łzami zachodzić — aż beknął, ramiona otwierając i runął w objęcia pana Konstantego.

— Krzyżu święty!... toż to ja ciebie widzę.

— Jezu! — jęknął Plichta. Miarkuj się waćpan w uścisku, bo dech ze mnie wydusisz.

Pan Szymon sfolgował, choć raz wraz obłapiał zbawcę swojego.

— Nie dziwo, że waćpanu Kantemir rady nie dał — tchnął Plichta.

— Jaki Kantemir, kochanieńki? — spytał Kopyciński.

— Toś waćpan nie wiedział, żeś z nim się mierzył?

— Ta nie kpij ze mnie i to przed Piątkiem świętym!...

— Nie kpiny to, mości panie, nie!... Niepokonany murza, „Miecz krwawy“ na waćpana nastawał.

— Korono cierniowa! dlaczego ty teraz dopiero rzeczy takie gadasz?... — zawołał Kopyciński. Toż gdyby ja wiedział, że to on był, większej kaszy narobiłbym. A to ja myślał sobie, że ot, zwyczajny czambulik tatarski, i nie z taką ochotą do roboty brał się, a prał po wierzchu, a ty powiadasz, że sam Kantemir mnie macał! Pan Jezus nie łaskaw na mnie, kiedy poznania mi nie dał, a tobym takiego bigosu nawarzył, że i Skinder-baszy jeśćby się go odechciało.

— Nie narzekaj, a dziękuj Panu Bogu, żem przybył w porę... A żeś nie marnował czasu, to spojrz jeno dokoła... No, co?... Bigos?

— Kisielek! — mruknął Kopyciński.

— Dziękuję za taki smakołyk! — zaśmiał się Plichta.

— Litewska potrawa — ta czego ty chcesz od niej?

— Nie jadł jeszcze takiej „Miecz Krwawy!“

— No, patrzaj, braciaszku, Kantemir!... — powtarzał wciąż Szymon.

— Jakże się waćpan czujesz? bom widział, jak waćpana na arkan wzięli — pytał Plichta.

— Ta nic tam wielkiego nie zrobiło się. Głowę trochę nakręcili, żebro jedno złamali i skórę na spinie obdarli — więcej nic!... A co tam słychać u was w obozie?

— Cicho...

— Hetman polityku je, ale obłupi skórę Skinderbaszy, jak Pan Bóg przykazał.

Noc przepędzili na pobojowisku, ale pan Szymon do snu się nie układł, dopóki nie pogrzebał ptaszeczków swoich. Wykopano dół wielki, usypano mogiłę wyniosłą i postawiono krzyż. Kopyciński jak bóbr płakał, rolę grabarza spełniając; nad ranem dopiero do snu się udał, wpierw pomodliwszy się na grobisku ptaszeczków kochanieńkich. Długo jednak zasnąć nie mógł, a wzdychał jakby wiatr doliną przelatywał.

— Umityguj się waćpan — śpiący przy nim odzywał się Plichta — bo dmuchasz tak, że spać nie sposób.

— To żałość wypiera się tak ze mnie.

— Cichoj! z martwych nie wstaną!

— Ja teraz po mojej kobyle płaczę.

— Zabita?

— Myślał, że zabita, bo pokociła się podemną i łbem upadła. Ale na polu jej niema, a ja szukał jej wszędzie, by ją uczciwie pogrzebać. Widno, że Tatarzy uprowadzili ją, wiedząc, że mnie bez niej, jak bez szkaplerza świętego.

— Na czemże teraz waszmość jeździć będziesz? — spytał Plichta.

— Abo ja wiem!... — zalamentował Kopyciński.

Usnęli — księżyc wysrebrzył się, nad jeziorem zapanowała cisza. I piękna byłaby ona noc wrześniowa, gdyby nie mdły krwi zapach, nie setki trupów zawalające dolinę, wywróconemi białkami oczu w gwiazdy patrzące.

Przed świtem zbudziło pana Plichtę silne szarpnięcie za ramię.

— Co znowu? — zawołał pan Konstanty, widząc Kopycińskiego z twarzą rozpromienioną, który go targał i nasłuchiwać się zdawał.

— Słyszysz, Plichta — słyszysz?

— Co?

— Rży — rży — rży...

— Kto taki?

— Moja kobyła myszata.

I porwał się na równe nogi.

Wądołem, przeskakując leżące trupy Tatarów, zziajana, zdyszana, pędziła kobyła Kopycińskiego.

Pan Szymon ręce otworzył. Poczciwe zwierzę podbiegło, zarżało radośnie i stanęło jak wryte. Powitanie było serdeczne, czulej pan Plichta żadnej z dziewek swych ukochanych witaćby nie mógł, jak Kopyciński kobyłę myszatą.

IX.

— Hasło?

— „Śmierć za wiarę!“

Straż poznała pana rotmistrza po głosie, rozstąpiła się, oddając należne mu honory i Plichta na czele oddziału swojego wjechał za obozowe okopy w towarzystwie pana Szymona Kopycińskiego.

Noc była już późna, obóz więc spoczywał we śnie pogrążony. Około ciemnego namiotu hetmana chodziły czaty, namioty innych wodzów spały także, zdawało się, że sen wszystko ogarnął, wszystkich przytulił, uśpił niechęci, jeżeli były i stanął na straży serc ludzkich różnemi namiętnościami potrącanych. Plichcie ta cisza niezupełnie w smak poszła. Za Dniestr spojrzał i ten sam spokój dostrzegł. Dwie wrogie potęgi rozdzielone tylko błękitną wstęgą rzeki w niezrozumianej spoczywały obok siebie zgodzie; znać było, że od czasu wyprawy pana rotmistrza żadna zmiana nie zaszła; ni koń turecki przez Dniestr przestąpił, ni rumak polski na brzegu przeciwnym się znalał; armaty nie wstrząsnęły powietrzem, ani okrzyk bojowy rozbudził ech śpiących.

Plichta zwrócił się do Kopycińskiego:

— Za porządnie coś w naszym obozie — rzekł.

— Jakto rozumieć? — zapytał pan Szymon.

— Ni Turek, ni myśmy się ruszyli.

— Widno, że hetman chciał o Kantemirze języka zabrać; teraz, gdy waćpan bigosik litewski zrobiłeś z niego, o Skinder-baszy pomyśli — zaśpiewał Kopyciński. — Wedle mego rozumienia nawet — ciągnął dalej — to dlatego jest taka cichość w obozie, że jutro do roboty się weźmiemy.

— Dałby Bóg! — westchnął rotmistrz.

— Uważasz waćpan, że nawet w żadnym namiocie wodzów światła nie widać, a pierwsze kury nie zapiały jeszcze. Nie bywałać to rzecz, by który z panów naszych Morfeusza o tej godzinie już ułapił, a ze szklenicą się rozstał. Widno, że hetman spać wszystkim nakazał, ażeby członki odpoczęły i większej wytrzymałości nabrały.

Plichta się zaśmiał.

— Nie sfatygowały się zbytecznie — rzekł z przekąsem. — Myśmy, mości panie, pracowali więcej, a zaraz z Turczynem w pląs poszlibyśmy ochotnie. Ale i mi się widzi, że wreszcie ze świtem Dniestr przejdziem i weźmiem się do rozprawy rycerskiej. Ale patrz! — dodał szybko, wyciągając rękę przed siebie — nie wszędzie sen, cisza i ciemność. Widzisz waćpan, jaka czerwona smuga światła bije — hen, hen — daleko, z onego namiotu na prawo?

— Czyj to! — zapytał Kopyciński.

— Koreckiego.

— Ten bez kielicha spać się nie położy — zaśpiewał pan Szymon.

— Uczty żadnej nie masz, sam musi być.

— Po czem sądzisz, kochanieńki?

— Za cicho — rzekł pan rotmistrz.

— A może zadaleko, kochanieńki.

Obaj mieli słuszność: za cicho było, aczkolwiek pełno w namiocie kniaziowskim; kilka stajań jeszcze oddzielało ich od niego, więc do uszu nie dolatywał przyciszony gwar rozmów, tembardziej, że w tej chwili pan Tomasz Zamoyski sam rzecz wywodził, a inni słuchali z zapartym oddechem w piersi. Kniaź Korecki na progu namiotu stał, brew miał ściągniętą, a pięści raz wraz ściskały się gniewnie. Wtem posłyszał tętent kopyt. Zwrócił się i dostrzegł Plichtę z Kopycińskim.

— A, jesteście! — rzekł w głos.

Szmer się zrobił. Zamoyski przerwał orację.

— Kogo nam Bóg sprowadza? — ozwało się tu i tam.

— Plichta i „Łupiskóra!“ — zawołał kniaź.

Porwano się ku przybyłym.

— Jak? co? wyprawa się udała?

— Niezgorzej — zaśmiał się Plichta.

— Ułapiliście jaki czambulik tatarski?

— O mało samego Kantemira Plichcik nie ułapił — ozwał się Kopyciński.

— Co? co? spotkaliście się z „Mieczem Krwawym?“

— I krwawy zwiedliśmy bój!

— Zwycięstwo?

— Przy nas!...

Za chwilę zaparty dech w piersi słuchaczów ogromnem tchnieniem powitał. Z ust do ust zaczęły przelatywać wyrazy: „Kantemir!... Miecz Krwawy!... Bój — walka, zwycięstwo!...“ I czuć było zazdrość, że ów bój, zwycięstwo ono bez nich dokonane zostało. Plichta i Kopyciński, wciągnieni wewnątrz namiotu, musieli w krótkich, a urywanych słowach opowiadać wypadki swych wypraw; zdumiewała wszystkich rozpaczliwa obrona „Łupiskóry“ — zachwycał impet jazdy pana Plichty, nie do uwierzenia była ucieczka groźnego murzy. I taki animusz ogarnął wszystkich, że namiot przed chwilą cichy, jak rojny ul zabrzmiał, a gromki okrzyk: — Za Dniestr! — wstrząsnął powietrzem.

Wtem głos pana Tomasza Zamoyskiego zapanował nad wszystkimi:

— Na miłość Boską — cicho! — zawołał. — Nie marzyć nam o Dniestrze.

— Co? — zapytał zdziwiony Plichta.

— Cha — cha — cha! — zaśmiał się Korecki. — Waćpan bijesz Kantemira, a my całujemy sandały Skinder-baszy.

— Nie rozumiem...

— Nie dziwo!...

— Co się stało? mówcie!

— Skinder-basza warunki postawił.

— A Żółkiewski?

— Przyjął.

Plichta milczał chwilę, a Kopyciński odezwał się:

— Nie awanturujcie się, kochanieńki moje. Jaśnie wielmożny hetman mógł warunki przyjąć, ale one bokiem wylezą Skinder-baszy.

— Nam! — wrzasnął Korecki.

Plichta się ozwał:

— Mówcie, bo nie wiem nic!

— Rozejdziemy się spokojnie do domów; krew Mohylów tylko czerwienić się będzie za nami...

— Nie rozumiem — powtórzył Plichta.

— Skinder-basza zażądał Chocimia, Iwoni sprzeciwił się i potoczyła się głowa jego do stóp padyszacha z rozkazu hetmana.

— A Chocim?

— Wydany został. Po spełnieniu tego warunku Skinder-basza zażądał, by hetman ukrócił swawolę naszą... Cha, cha, cha! — rozumiesz waszmość? Swawolę naszą! To jest, by wrota ziemi mołdawskiej zostały przed nami zaparte i hetman — podpisał.

— To dobrze zrobił, kochanieńki — wtrącił Kopyciński.

— I dalej...

— Jeszcze? — spytał Plichta.

— A czemu nie żądać, gdy wszelkie żądania spełniają... Nie wiecie jeszcze panowie o jednym warunku, na który hetman zgodzi się także, Skinder-basza zażądał spalenia Berszady. — Prywatne dominjum książąt Zbaraskich z ogniem pójdzie!

Umilkł i powiódł oczyma po zgromadzeniu, badawcze spojrzenie zatrzymując na młodym panu na Berszadzie, który zasłyszawszy wieść oną, drgnął lekko, wzrok w ziemię wbił i zdawał się rozważać, czy z myślą jakąś walczyć.

Wśród koła rycerskiego zapanowało milczenie długie, a przykre. Po oddaniu Chocimia, krwawej egzekucji nad Iwonią i przyrzeczeniu ujęcia w karby panów swawolnych — nie wątpił nikt, że Berszada ostać się nie może, że Skinder-basza, widząc — niezrozumiałą dla nikogo uległość hetmana, coraz to nowe. a uciążliwe warunki stawiać będzie.

Wieść zakomunikowana przez pana Tomasza Zamoyskiego, a snać nie bez wiedzy naczelnego wodza, kołu rycerskiemu — wstrząsnęła zgromadzeniem. Grom spadły z błękitów takiego wrażenia nie wywarłby. Rwano się do boju, wierzono w zwycięstwo, a oto bez wypróbowania sił nieprzyjacielskich przyjmują się upokarzające pokoju warunki, dobrowolnie do słabości przyznaje się — i to kto? Rzeczpospolita Polska!... i kiedy? w chwili, gdy jej oręż zwycięski na dalekiej północy granice państwa zakreślał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tragiczny wzlot orła.

Kto go zrodził, co posiadał — skąd pochodził, jak się zwał — nic o tem nie wiedział Janek z Tarnowa, zwany krótko Tarnowskim.

Był wychowankiem ulicy, nikomu nie ufał, bo też od ludzi tylko zła doznawał, wzamian za swe szlachetne zamiary. Dziwnem jest, że pozostawiony działaniu najgorszych wpływów ulicy, pozostał czystym. Tak to nieraz wśród kałuży ulicznej znaleźć można porzucony przez Opatrzność kamień szlachetny, — ażeby swym blaskiem wywierał zbawienny wpływ na otoczenie.

Sam się czytać nauczył, a ulubionym jego przedmiotem była historja Polski, a zwłaszcza opisy bohaterskich walk przodków, tak w okresie potęgi i świetności Ojczyzny,jak i w nierównych walkach powstającego narodu.

W chwili wybuchu wojny światowej Janek liczył lat 12.

Patrząc na wielkie armje, przewalające się po ziemiach polskich, nie mógł zrozumieć przyczyny tej wojny. Po dłuższem czytaniu doszedł do wniosku, że celem wszystkich jest zaborczość i chęć zysku. Nienawidził też odtąd jeszcze bardziej ciemiężycieli Narodu Polskiego.

Rok 1918. Wymodlone przez przodków, zbliżone błyskiem szabel współczesnych, zajaśniało słońce wolności Ojczyzny, lecz już w zaraniu odwieczny nasz wróg germanin rzuca nam kłody pod nogi. Wykorzystując swój posiew nienawiści między bratnim naszym narodem, tworzy armję ukraińską. Przewrotny krzyżak, ciemięzca słabszych, zmuszony przegraną wojną do oddania zrabowanych ziem na wschodzie Europy, ubiera się w togę „obrońcy uciśnionych“, aby rozdrobnić jeszcze bardziej zespalający się naród słowiański. Tak od momentu przegrania wojny dąża konsekwentnie hydra krzyżacka do ułatwienia sobie wojny odwetowej.

Zawrzało gniewem młode serce Janka.

Zgłasza się ochotniczo do wojska polskiego. Komisja poborowa długo namyśla się, widząc wątłą postać chłopięcia wycieńczonego głodem, lecz naiwny jego argument, że „ma swój karabin“, rozbraja komisję.

Maszeruje Janek do stacji kolejowej ze swoją kompanją. Kilkutygodniowy okres ćwiczeń nie zaprzyjaźnił go z kolegami z powodu jego nieufności. To też idzie on smutny i samotny wśród towarzyszy. Smutek jego tłumaczą koledzy bojaźnią przed trudami, a może i śmiercią i żartem nadają mu nazwę „Janek Boisię“. A serce Janka łomoce szaloną radością, że nareszcie spełniają się najskrytsze marzenia jego życia. Na przezwisko „Boisię“ niczem nie reaguje myśląc z radością, jak to on udowodni czynami, że nazwa ta jest niesłuszna.

W Małopolsce walki z Ukraińcami. Rozwścieczeni agitacją, pijani smutną tradycją Chmielnickich, Gontów i Żeleźniaków,wyzuci z uczuć ludzkich długą wojną, zbolszewizowani Ukraińcy mordują bez litości otwarcie i skrycie polską młodzież, ku szatańskiej radości swych „germańskich atamanów“.

Zmęczony całodziennym marszem na pozycję, zasypia Janek w szopie zdala od towarzyszy, których żarty z jego rzekomej bojaźni kłują go boleśnie. Jedyny jego towarzysz, to stary karabin znaleziony dawniej na obozowisku austrjaków, który ściskany kurczowo drobnemi rączętami, leży na piersi Janka.

Spij orle młody, któryś rozwarł dopiero skrzydła do lotu.

Spij i śnij o czynach walecznych, które raz na zawsze przekreślą hańbiącą nazwę „Boisię“.

Spij, bo ostatnia to noc twego krótkiego żywota. Cicho, ostrożnie jak kot skrada się ciemna, brodata postać ku szopie. Za moment, sztylet zdradzieckiego wroga przebija serce Janka. Ostatni jego szept cichy „nie boję się“. Trup usunięty — ślady zatarte.

Przeprowadzone dochodzenie ustaliło „ponad wszelką wątpliwość“, że Janek powodowany strachem zdezerterował. Tak zgodnie zeznali wszyscy towarzysze.

I suche, bezbarwne słowa wyroku sądu polowego głoszą „Jan Tarnowski, przezwany Boisię, lat 16 itd. skazany na karę........ za dezercję z placu boju“.

A duch Janka uśmiecha się z zaświatów, wybaczając wszystkim doznane krzywdy.

Lichorobiec Anastazy.



Sierota.

Była sierotą — bez ojca i matki —
Jak pies bezdomny wlokła się po świecie...
Ni wioski swojej, ni maleńkiej chatki;
Nie dla niej słońce i wiosna i kwiecie.

Łzy wypłakała, i gorzkie i rzewne,
Serce rozdarła w przykrościach i męce —
Nie dla niej wieją wietrzyki powiewne,
Nie dla niej były macierzyńskie ręce.

Nie dla niej gwiazdki świecące na niebie,
Nie dla niej słońce zsyła promień złoty —
Idzie w wędrówce o proszonym chlebie
Wdal pełną gromów, burzy i słoty.

Idzie — a ciału dokucza spiekota
Lub zimno chłoszcze i gryzie i pali —
Myśl ciągle szepce: sierota, sierota,
A chmury smutku nie ogarną dali.

Przed nią przyszłość niezbadana jęczy,
Za nią przeżyte dni wyją bólami —
Lecz nad nią łaska się Boża roztęczy
Bo Ją wyprosi modlitwą i łzami.

L. Kuboszek.

Plamy na słońcu.



Plama słoneczna z czerwca 1861 r.

Gdy patrzymy na słońce gołem okiem, zdaje ono nam się jednakowo jasne w każdem miejscu. Tak jednak nie jest, gdyż i na słońcu ukazują się od czasu do czasu plamy, których istnienie stwierdzili uczeni astronomowie.

Plamy słoneczne pojawiają się niespodzianie, nieregularnie, w różnych miejscach tarczy słonecznej, chociaż tylko w pewnym rejonie tej tarczy. Zjawiają one się w różnych ilościach i miewają rozmaite kształty i rozmiary, a trwają niezbyt długo, najdłużej dwa do trzech miesięcy i to każda krócej lub dłużej. Nie pozostają też nieruchomo w jednem miejscu, ale pozornie płyną zawsze w pewnym wybitnym kierunku przez tarczę słoneczną, w kierunku od wschodu ku zachodowi, ale nie z jednakową szybkością. Wystąpiwszy na jednym brzegu tarczy słonecznej, posuwają się zrazu powoli, zbliżając się jednak ku środkowi, posuwanie to zwiększa się, aby znów po przejściu środka tarczy zwolnić swój dotychczasowy bieg.

Jest to jeszcze jeden więcej dowód, że po pierwsze słońce nie jest tarczą, ale kulą ognistą, a powtóre, że słońce nie stoi w miejscu bezczynnie, ale taksamo, jak ziemia, obraca się stale około swej osi. Wskutek tego nam się zdaje, że posuwają się plamy, a tymczasem one są w miejscu, a słońce wykonuje ruch obrotowy.

Na pierwszym naszym obrazku widzimy takie plamy słoneczne, obserwowane 5 czerwca 1861 roku przez J. Nasmyth'a.

Skądże pochodzą te plamy na słońcu? Jedni twierdzą, że słońce dotychczas jest ciałem lotnem, które dopiero zaczyna zastygać, a właściwie, że gaz przemieniać się zaczyna w płyn I właśnie ten płyn my nazywamy plamami słonecznemi. Inni utrzymują, że plamy te przedstawiają owe miejsca, gdzie wskutek wysokiej temperatury gazów, które z wnętrza słońca wybuchają, pary mas fosforycznych rozprężają się i przechodzą w gazy. Ciemność tych miejsc tłomaczy się tem, że w nich zabrakło świecącej masy fosforycznej, bo jej miejsce zajęły gazy mało świecące. Przytem zapełniają te gazy owe próżnie (wydrążenia) do większej lub mniejszej głębokości, a temsamem w większej lub mniejszej mierze pokrywają i absorbująco ściemniają masę fosforyczną, która się jeszcze u spodu i po bokach wklęsłości znajduje.

Tak twierdzą, ale jak jest w rzeczywistości, któż to udowodnić potrafi, kiedy słońce jest tak daleko od ziemi.

Cóżto jest jednak słońce? Otóż, jak to już zaznaczyliśmy, jest to olbrzymia kula, która jest rozpalona wprost do bajecznej wysokości. Jak twierdzą uczeni, temperatura powierzchni słońca dochodzi do 13.250 stopni Celsiusza, zaś wnętrze do 1,112.000 stopni. Wszystko to jednak są tylko przypuszczenia, choć w każdym razie bardzo prawdopodobne.

I znów jak twierdzą uczeni, ciało słoneczne składa się z tworzywa, znajdującego się w najwyższym stopniu żaru, a świecąca powierzchnia słońca jest warstwą rozżarzoną do białości, w której znajdują się w stanie rozżarzonej pary rozliczne tworzywa, jakie się i na ziemi znajdują, n. p. z metalów żelazo, nikiel, cynk, ołów, miedź, aluminium i inne. Pary te świecą same przez się wskutek swej wysokiej temperatury.

Gdyby i ziemia nasza została rozżarzona do ta-



Ustrój plamy słonecznej.

kiej wysokiej temperatury, jak słońce, świeciłaby taksamo, jak słońce.

Według twierdzenia niektórych uczonych ponad tą warstwą unosi się mniej gorąca warstwa z pary wodoru, w której załamują się promienie właściwego słońca, co nadaje mu wyraźne kontury i sprawia wrażenie, że słońce jest ciałem stałem.

Trzecią warstwą, także świecącą, która jako najdalsza otacza słońce, widzieć można podczas zupełnego zaćmienia słońca w kształcie bardzo nieregularnie rozpostartej aureoli światła bardzo łagodnego, które „Koroną" nazwano.

Powracając jeszcze do plam słonecznych, podajemy jeszcze podobiznę innej plamy słonecznej, która jest podobna do jakiejś postrzępionej pieczary.

Jak powstały dzwony?

(Legenda.)

Był maj... Ten piękny i czarowny maj, miesiąc Królowej Pani nieba i ziemi — miesiąc skowronkowych i słowiczych pieni. A wszędzie rozlega się harmonijna pieśń: Na świecie maj! Na świecie maj!

W pewien wieczór majowy wracał z pielgrzymki do Ziemi Świętej pobożny rycerz. Nazywał się Bogumił czyli Bogu miły... Strudzony długą podróżą, zatrzymał się na leśnej polanie, aby trochę odpocząć. Zeskoczył więc z konia, puścił go wolno na łąkę, a sam usiadł w cieniu rozłożystego dębu. Błogo mu było na sercu. U grobu Chrystusa duszę swą oczyścił, a teraz wraca do ziemi ojców, do Polski ukochanej, tej Polski wyśnionej ongiś i wymarzonej przez poetów. Zapadł wieczór... W ciszy leśnej zaczął modlić się rzewnie, bo zbudził się w nim duch człowieczy i szedł za dźwiękiem pieśni majowej!

— O Boże! Wszystko, co żyje, chwali Cię i wielbi. Ja także pragnę uczcić Cię, Panie Jezu i Twoją Matuchnę Najświętszą, lecz nie wiem, jak to mam uczynić, ażeby móc głosić chwałę Twoją na cały świat.

Gdy się tak modlił żarliwie, usłyszał dźwięk cichy, ale wyraźny, który rozlegał się wokoło... Zdumiał się wielce pobożny rycerz. Spogląda w dal i oczom nie chce wierzyć. Oto z pośród traw na łące wychyliły się prześliczne kwiaty. Ich blado-liljowe korony chwiały się lekko pod wieczornym zefirkiem, a srebrzysto-białe serduszka kwiatów uderzały o koronę i wydzwaniały pieśń, którą tylko czyste i pobożne serca mogły słyszeć. Były to właśnie dzwonki leśne. Ucieszył się rycerz niezmiernie tem dziwnem zjawiskiem. Gdy powrócił do domu, kazał ulać ze srebra ogromny kwiat, zupełnie podobny do owych kwiatków leśnych i zawiesił na wieży kościoła. Był to pierwszy dzwon, który swym dźwiękiem srebrzystym a donośnym głosił chwałę Bożą na całą okolicę i zwoływał ludzi na modlitwę rano, w południe i wieczór...

I dzisiaj, gdy posłyszysz cudny głos dzwonów, zwołujących ludzi na majowe nabożeństwo, pospiesz czemprędzej do ołtarza, do stóp Królowej Korony Polskiej, pomódl się szczerze i serdecznie, a zobaczysz, człowiecze, że mistyczna Pani nigdy cię nie opuści...

Z legend przepisał: *Fr. J. Tr...*

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Hiszpanja IV.

Do najsławniejszych toreadorów swojego czasu należał Antonio Reverte. Był on jednym z tych, którzy starali się tak umęczyć biedne zwierzę, że to



Antonio Reverte.

padało bez ciosu omdlone na ziemię. Reverte nie używał wcale czerwonej płachty do drażnienia byka; zwisała ona mu bezużytecznie przez ramię, a do podrażnienia zwierzęcia używał zwykłego wachlarza lub jeszcze częściej własnego kapelusza. Publiczność walkę taką śledziła z wielkiem zainteresowaniem, ale zakończenia zwykle nie uznawała; pragnęła krwi, a krwi w tym wypadku nie było. Na obrazku naszym widzimy podobiznę tego sławnego zawodnika w jego malowniczym, a oryginalnym stroju.

Po płachtach następują piki. Pikador wjeżdża na arenę na koniu, z drugiej strony ukazuje się rozwścieczony byk. Chwila wahania, a potem zwierzę, przeznaczone na śmierć, uderza na swych przeciwników. Następuje chwila grobowego milczenia; wszyscy z zapartym oddechem śledzą każdy ruch byka, jak i każde poruszenie pikadora na koniu. Już byk nadstawił rogi, aby na nie nadziać biednego rumaka. Ale w tejże chwili pikador skręcił nim zręcznie w bok i dwa zwierzęta przebiegły tylko obok siebie. Daje się szyszeć burza oklasków, również pobudza nieszczęśliwego byka do jeszcze większej zaciekłości. Zawraca ku swemu przeciwnikowi. Powtarza się scena poprzednia, z tą jednak różnicą, że byk zahaczył rogiem o brzuch rumaka. Rozdarł mu skórę, dostał się do wnętrzności. Niejednokrotnie z otwartej rany wydobywają się wnętrzności. Natychmiast przybiega służba, wpycha jelita pod skórę, zatyka ranę wiechciami słomy dla chwilowego zatamowania krwi i przedłużenia igrzyska. Czasem się to udaje, ale nie zawsze. Niejednokrotnie koń z powodu upływu krwi pada na ziemię i kończy swój żywot w śmiertelnych konwulsjach. A publiczność patrzy na to bez odrobiny współczucia i bawi się tem. Bydlęta a nie ludzie. Gorzej niż bydlęta, bo kto wie, czyby serce zwierzęcia nie zadrżało bólem, gdyby to mogło się choć na chwilę zastanawiać nad barbarzyństwem takiego postępowania.

Zdarza się czasem, że byk powali konia razem z jeźdźcem; bywają wypadki, że w upadku takim pikador pogruchoce sobie kości, albo i kark skręci, publiczność wtenczas jednak nie współczuje z nim, ale się oburza, wyrażając swoje niezadowolenie gwizdami i nieprzyjaznemi okrzykami.

Ale padł jeden pikador, to inny odwraca uwagę zwierzęcia na siebie, służba zaś wywleka biednego rumaka poza arenę, zabitego lub rannego pikadora wynosi również, aby nie zawadzali w dalszej walce.

I walka trwa dotąd, póki pikador nie wymierzy celnie swej piki i nie zada śmiertelnego ciosu biednemu zwierzęciu. Wtedy w powietrzu rozlega się huragan oklasków, pikador kłania się na wszystkie strony, dziękując za owacje, dumny, jak Napoleon po największem zwycięstwie.

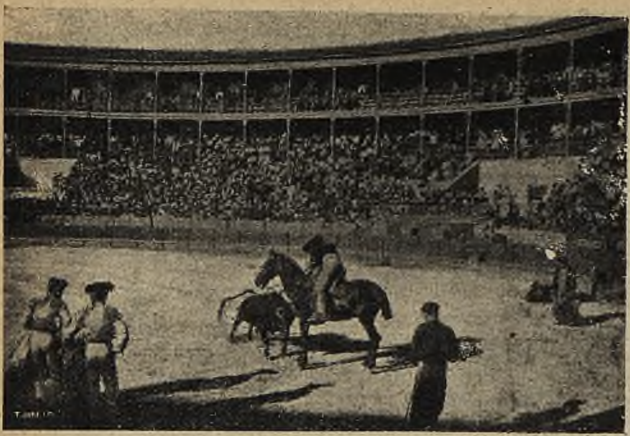
Na następnych naszych obrazkach widzimy najpierw pikadorów, drażniących i tak już podrażnionego byka, a na następnym jednego z pikadorów, nacierającego na swego przeciwnika. Tak na jednym, jak i na drugim w głębi widoczne są tłumy ludności. przypatrujące się temu krwawemu widowisku.

Ciekawa rzecz, czy teraz, kiedy mieszkańcy Hiszpanji sami poczynają się włóczyć za łby, kiedy własną krew bezpotrzebnie przelewają, kiedy coraz bardziej rozszerza się czerwony komunizm, czy te-



Pikadorowie na arenie.

raz nie zaprzestaną owych niemądrych, a tak haniebnych walk byków. Może być, że na chwilę zaprzestaną, mając poddostatkiem widoku krwi wła-



Natarcie pikadora.

snej, ale gdy się tam jakoś stosunki unormują, to niezawodnie do nich powrócą, gdyż już tak żyli się z nimi od wieków, że i nadal bez nich obejść się nie będą mogli.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Bez cały cyrwiec od samego jego pocątku prawie codziennie dyscyki sikają: nicem, ućciwsy usy, jaka panienka miastowa. Na świecie robi się tez wilgotno, wskutek cego zimniacki pod badylima tak się mnozą, jak dziecka u Weronki Podlaskówny. Będzie jedzenia co niemiara, a moze się i tak zdarzyć, ze nie będzie miał tego kto spapać. Latego tez zachodzę w głowę, cyby się przecie niedobrze było gdzie do grontu przyzenić, aby jakiej młodej makolągwie w jedzeniowej robocie dospomóc.

I tak se kalkuluję, ze niezłaby to była rzec, ale gdyby mozna ino tak na trochę, na rok, albo choćby na parę miesięcy. Słowem na tak długo, na jak długoby zimniacków wystarcyło. Bo przyzenić się to nie štuka, potrafi to lada dureń, ale wytrwać w małzeństwie to gorzej. Bo dajmy na to, cłek się przyzenił, ma z zimniackami robotę bez cały dzień, a jak se poji dokumetnie, to potem i miłość lepiej smakuje. Ciesy się cłecysko, ze tak zawse będzie. A tu temcasem mija rocek i nastaje drugi, ale juz nie taki urodny, jak rok łoński. Przywiezies jesienią zimniacki do dołka i przekonas się, ze la ciebie toby tam jesce jesce wystarcyło. A tu temcasem mas juz babę i dwoje dziecek, trza ci więc zywić zamiast jednej štyry gęby. W takim razie najlepiejby się było odzenić. A takiego sposobu ludzie, choć udają mądralów, jesce nie wymyślili. Załozy chłop wołowi jarzmo na kark, albo koniowi chomąto, to mu je po jakiemś casie zdejmie i wszyćko w porządku, a jak se cłek załozy na swój kark jarzmo małzeńskie, to nawet sam prezydent ministrów nie zdejmie, choć takze udaje mądralę.

A wiadomo, ze jak się zimniacki cłekowi grontowemu nie urodzą, to klapa z przedstawienia: wtencas i gęba próżnuje i brzusysko próznuje i wszyćkie inkse przynalezności zywnościowe próznują. Całe ciało rozleniwia się, ze go ani rus do jakiejkolwiek roboty rozchybać. A i spania nima, bo i jakie to spanie, kiedy jesce nie zmruzys dobrze ocu, a tu ci hurrrrr w brzuchu, zrywas się z lezenia i oglądas się, cy to grzmi gdzie. cy wilcy wyją. Po zapachu ino poznajes, ze jakiesik inkse niescęście się wydarzyło. Ligas z powrotem i z powrotem przychodzi to samo. Wścikas się, co mozes, ale nic nie pomaga i kiedy juz wszyćka złość z ciebie wyleciała i mógłbyś jako tako się przespać, to się robi dzień i juz po spaniu.

Jak we wnątrzu u cłeka pustka, to i o kochaniu się nie chce myślec, a jak nima kochania, to i baba psu na budę się nie zda. I w takiem interesie cłek radby się odzenić, a tu powiadają: ni mozna. Choć juz mam więcej lat jak parenaście, to przecie po dziśdzień nie mogę zrozumieć, lacego ludzie takie postanowienie sami la siebie zrobili. Pewnikiem za casów króla Dawida takie przepisy same dla siebie baby układały.

To nic jednak, ze je baby układały, ale pytam się, na co dzisiaj mamy najjaśniejsego prezydenta, na co mamy jasnych ministrów, a na co mamy Sejm i Senat, na co mamy wójta i całą gromadę, kiedy jem tego ludzkiego uciemięzenia zmienić nie wolno? Bo przecie, zeby nie chcieli zmienić, to nie prawda. Kuzden zeniaty jest tego samego przekonania, co i ja, a kawalerzy jesceby prędzej byli za taką zmianą od zeniatych. Widzi mi się, ze oniby chcieli, ale boją się jednej rzecy. Gdyby przecie takie prawo do odzeniacki uchwalili, to niemby ono stało się prawem, toby jem ani jednego kudła na głowie nie zostało, a kraj bez ten cas bardzoby się wyludnił.

Bo od uchwalenia do zatwierdzenia u nas casem i parę lat upływa, a wiadomo, ze są i takie ustawy, które zostały jesce przed dziesięciu laty w Sejmie uchwalone, a jesce do dzisiaj jasności Boskiej nie uwidziały. Widzi mi się więc, ze i nasi posłowie się bejają, ze jakby taką odzeniającą się ustawę tego roku uchwalili, to mogłaby ona się stać obowiązującą dopiero po ich najdłuzsem niescęśliwem zyciu. Wolą nie ryzykować.

Ale co mnie to wszyćko obchodzi! Przecie powiadają, ze na to są wszyćkie ustawy, aby je obchodzić. to i taką ustawę małzeńską chyba moznaby obejść. W tem ino sęk: jak? Widzi mi się, ze najlepiej będzie obmyślić se najpierw obejście tej ustawy małzeńskiej, a potem dopiero pomyśleć o zeniacce. Chyba zeby się znalazła jaka, co juz nie moze wytrzymać, i zgodziła się na tak długie małzeństwo, póki się tegorocne zimniacki nie skończą. Poniewaz zaś jestem cirpliwem człowiekiem, więc cekam temcasem na taką i mogę cekać do samej śmierci.

A wicie lacego się mówi: do śmierci? Latego, ze śmierć kuzdemu śmierdzi.

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XXI.

Nadeszła zima, bardzo ostra w tej szerokości geograficznej. Dały się już odczuwać pierwsze zimna, zwiastujące potężne mrozy. Godfrey winszował sobie w duszy, że w domostwie urządził był piec, służący już nietylko do gotowania strawy, lecz także do ogrzewania mieszkania. Palisada dawno już była gotowa, a mocna brama stanowiła uzupełnienie warowni.

W ciągu najbliższych sześciu tygodni, więc do połowy grudnia, przeważnie były dni słotne i często niepodobna było wyjść z domu. Jako pierwsze zwiastuny ostrej zimy zjawiły się straszne wichry, wstrząsające potężnemi konarami drzew i zaścielające całe otoczenie mnóstwem połamanych konarów, w łatwy sposób zaopatrując mieszkańców wyspy Finy w nowe zapasy opału.

Lokatorzy drzewa Wilhelma ubierali się w miarę możności jak najcieplej. Wyruszając na wyprawy celem zdobycia zapasów żywności, wkładali wełnianą odzież, znalezioną w kufrze, ale rychło i ona przestała wystarczać wobec potęgującego się z dnia na dzień zimna.

Zaprzestano tedy polowań, wymagających kilkugodzinnego przebywania na polu, a rychło spadły śniegi tak obfite, że Godfrey zapytywał się w duchu, czy przypadkiem nie dostał się w okolice Oceanu Lodowatego.

Wiadomo, że Ameryka Północna z powodu wichrów północnych, szalejących po nieosłoniętej płaszczyźnie, należy do najzimniejszych krajów na świecie. Zima ciągnie się tam niemal do maja i trzeba wielu środków zapobiegawczych, by jej skutecznie stawić czoło. Godfrey nie wiedział, że wyspa Finy leży w innej szerokości geograficznej, niż mógł był wnosić z czasu trwania podróży.

Wprawdzie wnętrze drzewa urządzono, o ile się dało wygodnie, zabezpieczając je przed deszczem i wichrem, lecz mimo to mrozy dawały się im potężnie we znaki. Naczyń kuchennych było zamało, a słone mięso żółwia również się wyczerpywało. To też od czasu do czasu zmuszeni byli poświęcić ze swego stada jakiegoś królika, czy kozę, zmniejszając w ten sposób swój dobytek.

W takich warunkach było całkiem zrozumiałem, że myśli Godfreya przybierały coraz posępniejsze zabarwienie.

Na domiar złego dostał ciężkiej febry, która przez dwa tygodnie męczyła go bezlitośnie. Gdyby nie domowa apteczka, którą zawdzięczał zawartości nieocenionego kufra, niewiadomo, czy byłby wogóle odzyskał zdrowie. Przytem Tartelett wcale się nie nadawał do pielęgnowania chorego. Jedynie Karefinotu umiał mu oddawać przysługi niezbędne i jemu też zawdzięczał, że zwolna wracać zaczął do sił.

W czasie choroby miał więcej, niż kiedykolwiek czasu do rozmyślań i robienia sobie gorzkich wyrzutów. Wszak on sam, a nie kto inny, był sprawcą tej ciężkiej sytuacji, z której na razie żadnego nie widział ratunku. Ileż to razy w gorączkowych majaczeniach przyzywał do siebie Finę, swą uroczą narzeczoną, której zapewne już nigdy nie zobaczy! Ileż razy z gorącą tęsknotą wysłał o wuju, od którego dzieli go bezmiar Oceanu! Jakże inaczej przedstawia się w rzeczywistości ów żywot Robinzona, o którym marzył był jako o najwyższym ideale! Teraz przekonał się, jak bardzo rzeczywistość odbiega od mrzonek młodocianych! I niestety, z każdym dniem, spędzonym na bezludnej wyspie słabła nadzieja powrotu kiedykolwiek do rodzinnego ogniska!

Tak minął cały grudzień, a dopiero pod koniec tego miesiąca Godfrey zaczął odzyskiwać siły.



...Zabłysły ślepia, a przerażone stado wpadło do zagrody...

Tartelett natomiast, dzięki widocznie specjalnej łasce nieba. był całkiem zdrów i krzepki. Mimo to nie przestawał się skarżyć i wygłaszać gorzkich żalów! Podobnie, jak w grocie Kalipso, po odjeździe Ulisena nie rozbrzmiewały śpiewy, tak w drzewie Wilhelma zmilkły na zawsze dźwięki skrzypiec, gdyż wszystkie struny popękały od zimna!

Wśród najrozmaitszych obaw, jakie w tych czasach trapiły Godfreya, obok lęku przed napaścią dzikich zwierząt była też troska, że dzicy, znający położenie wyspy, gotowi którego dnia powrócić tu z większemi siłami. Przed tym wrogiem palisada nie mogłaby ich obronić!

Po dojrzałym namyśle Godfrey doszedł do przekonania, że w razie niebezpieczeństwa najpewniej będzie się schronić na gałęzie drzew. Należy się tylko postarać o łatwiejszy dostęp. Wąski otwór u rozwidlenia gałęzi ogromnie ułatwi obronę z góry!

Przy pomocy Karefinota udało mu się w wydrążeniu drzewa zrobić w korze schodki, po których z łatwością można było wbiegać na gałęzie.

Po ukończeniu tej dość żmudnej roboty, Godfrey rzekł z uśmiechem zadowolenia:

— Prawdziwie, teraz już możemy mówić, że na parterze mamy mieszkanie miejskie, a na piętrze letnią willę!

— Wolałbym piwnicę przy ulicy Montgomery! — westchnął Tartelett.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, tak uroczyście święcone w Stanach Zjednoczonych! A w parę dni później Nowy Rok, przywodzący na myśl tyle wspomnień rozkosznych! Tym razem Nowy Rok przyniósł jedynie w darze wichurę i śnieżną zawieję i trzaskające mrozy.

Już od pół roku rozbitki z „Marzenia“ odcięci byli od świata. Nowy Rok nie zapowiadał się po-

myślnie, nasuwając mieszkańcom wyspy Finy przykre myśli, że teraz dopiero zaczną się dla nich najgorsze utrapienia.

Do 18 stycznia szalały śnieżne zawieje. Zwierzęta domowe w braku paszy, musiano wypuścić na łąkę, gdzie tu i ówdzie mogły się pożywić gałązkami krzewów lub mchem. Tegoż dnia wieczorem powietrze nagle się zmieniło: nastąpiła odwilż i spadł obfity zimny deszcz. Cała wyspa zasnuła się w mokre płachty mgieł, nie pozwalające widzieć o trzy kroki przed siebie, a w drzewie Wilhelma ciemno było jak w grobie.

Godfrey i Karefinotu, wyciągnięci na swych posłaniach z siana, napróżno starali się zasnąć, a Tartelett przy mdłem świetle łuczywa czytał biblję.

Około godziny 10 od północnej części wyspy dobiegł głuchy ryk, z każdą chwilą głośniejszy i wyraźniejszy.

Niepodobna się było mylić. Najdokładniej mogli rozbitki rozróżnić ryki dzikich zwierząt, wałęsających się gdzieś w pobliżu, a sytuacja przedstawiała się tem groźniej, że obok wycia tygrysa i hyjeny, w strasznym tym koncercie słychać też było ryk lwa i pantery.

Godfrey, Karefinotu i Tartelett równocześnie się zerwali, zdjęci trwogą śmiertelną. O ile jednak Karefinotu dzielił zrozumiałe przerażenie swych białych towarzyszy, to obok tego uczucia, na twarzy jego odbiło się też najwyższe zdumienie.

Przez nieskończenie długie dwie godziny, trzej mężczyźni znosili najokropniejszą mękę wyczekiwania i niepewności. Od czasu do czasu doleciał ich ryk zwierzęcia z bardzo nieznacznej odległości, to znów milkło wszystko raptownie, jakgdyby gromada drapieżców nie znając drogi, błąkała się bezradnie. To pozwoliło im żywić nadzieję, że może jednak drzewo Wilhelma uniknie niebezpieczeństwa napadu!

— Niech się stanie, co się stać musi! — rozmyślał Godfrey. — Jeśli nam się nie uda wytępić tych dzikich bestyj, to i tak wcześniej czy później padniemy ich ofiarą!

Zaraz po północy wycie i ryki ponowiły się ze wzmożoną siłą. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że gromada drapieżców zbliża się do ich domostwa. Tak! Z całą pewnością drapieżce biegną ku grupie drzew-olbrzymów.

I znów po głowie Godfreya przemknęła myśl: Skąd te drapieżne zwierzęta? Wszak nie mogły tu wylądować w ostatnich czasach! Musiały żyć na wyspie przed rozbiciem „Marzenia"! Jakim więc sposobem mogły się ukrywać przez tak długi czas, że nigdy nie odkrył najmniejszego śladu ich pobytu, pomimo, że polując. czy też bez określonego celu wędrując po wyspie, po niezliczone razy przebył ją wzdłuż i wszerz! W jakiej tajemniczej kniei mogły się ukrywać te drapieżne zwierzęta, których ryki tak wyraźnie teraz rozróżnia? Tak, lwy, hyjeny, pantery i tygrysy widocznie sobie dały schadzkę w pobliżu ich domostwa! Ze wszystkich dotychczasowych zdarzeń niewyjaśnionych, niezrozumiałych, ten gromadny pochód zwierząt rozmaitych gatunków, wydał mu się najbardziej zagadkowym!

Karefinotu uważał to wszystko za nieprawdopodobne! Twarz jego wyrażała zdumienie, graniczące z ogłupieniem. Przy migotliwym blasku ogniska, rozświetlającym wnętrze drzewa, czarna jego twarz wykrzywiała się i mieniła błyskawicznie.

Tartelett ani na sekundę nie przestawał biadać i jęczeć i wyrzekać. Kilka razy chciał zapytać, co to wszystko ma znaczyć, ale wygląd Godfreya świadczył wymownie, że w tej chwili nie jest skłonny do udzielania wyjaśnień. Mistrz tańców i pięknych form przeczuwał jakieś niebezpieczństwo i suszył sobie głowę, jakby się ocalić. Parę razy odważył się wyjść z Karefinotem, by zbadać, czy w razie napaści, brama palisady wytrzyma napór silnych łap... Nagle czworonożna lawina w strasznym popłochu runęła ku drzewu Wilhelma... Na razie były to tylko króliki, kozy i capy... Przerażone wyciem i rykami biedne stworzenia uciekły z pastwiska, szukając ochrony za palisadą.

— Musimy otworzyć bramę i wpuścić te biedactwa! — rzekł Godfrey.

Karefinotu energicznie potakiwał głową.

On bez słów rozumiał Godfreya.

Rozwarto tedy bramę, a całe przerażone stado wpadło do zagrody... W tejże chwili, w rozwartej jeszcze bramie, zabłysły dzikie ślepia, tem straszliwsze w posępnym mroku nocy.

Nie było już czasu na zamknięcie bramy. W okamgnieniu, nie zważając na opór, Murzyn pochwycił Godfreya i wciągnął go do wnętrza drzewa, zatrzaskując za sobą drzwi domostwa.

Ponowne ryki tuż w pobliżu świadczyły, że trzy lub cztery dzikie bestje znajdują się w obrębie palisady. Do tego potwornego koncertu przyłączyło się teraz trwożne beczenie i pomruki. Godfrey i Karefinotu wspięli się na okna, wycięte w korze drzewa i poprzez mroki usiłowali rozróżnić, co się dzieje na dworze. Stadko zwierząt domowych wpadło jak w sidła, wydane na łup drapieżców — niewiadomo jeszcze, lwów, czy tygrysów ,panter, albo hyjen — które się też zabrały do krwawego swego dzieła.

Wtedy Tartelett pod wpływem bezprzytomnego strachu, nie wiedząc, co czyni, pochwycił jedną ze strzelb. wiszących na ścianie, by na ślepo strzelić przez okienko.

Godfrey pochwycił go jednak za rękę:

— W takiej ciemności niepodobna celować, a na ślepą strzelaninę szkoda nabojów. Musimy czekać, aż się rozwidni!

Miał rację. Strzały mogły tak samo dosięgnąć zwierzęta dzikie, jak domowe, a większe było prawdopodobieństwo, że kula trafi któreś ze zwierząt domowych, gdyż było ich więcej. O ich gatunku niepodobna już było myśleć. Jeśli zresztą zginą, to można się spodziewać, że dzikie bestje nasycone, przed nastaniem dnia pomkną dalej, a wtedy będzie dość czasu się zastanawiać nad dalszemi środkami obrony domostwa.

W ciemną noc jednak rozum nakazywał ukrywać przed drapieżcami obecność istot ludzkich. W ten sposób uda się może uniknąć ich napadu na domostwo!

Ponieważ Tartelett niezdolny był do rozumowania, więc nie pozostało nic innego, jak odebrać mu broń, co zresztą było rzeczą łatwą. Rozbrojony tancmistrz padł na swe posłanie, wyrzekając na podróże i podróżujących, psiocząc na warjatów, którym zachciewa się uganiać po świecie, zamiast żyć spokojnie i zażywać wszelkich wygód i rozkoszy.

Ciąg dalszy nastąpi.



Poradnik gospodarczy.

Leczenie bydła a zabobony.

Zdarzają się choroby, w których tylko bezzwłoczna pomoc zdoła zwierzę uratować. Ludność powinna tedy posiadać środki pod ręką i ludzi, którzyby je zastosowali. Ludzi, gdzieby ich nie było, nawet takich, coby się „znali na leczeniu", wszak lekarzy — powiada przysłowie — najwięcej na świecie. Toteż skoro zachoruje bydlę, zbiegają się ludzie i wszyscy radzą i ten radzi to, ów zachwala owo; ten się „podobno zna", ów coś słyszał, tamten coś widział. Trudno inaczej — radzić trzeba, czasem się trafi i niezła rada, choćby większa część chybiła celu.

Właściciel, zaniepokojony o byt swego dobytku, chętnie przyjmuje każdą radę i prosi: „radźcie ludzie co możecie", to też radzą wszyscy i ratują, jak mogą i jak umieją: ten smaruje, ten naciera, ów leje coś do gardła, baba „sięga" do kiszki, a skoro nic nie pomaga, wychodzi na jaw „paskudnik", trzeba zdjąć paskudnika. Ostatnia ucieczka, niestety ucieczka do zabobonu.

Przybyłem raz przypadkowo na podobną scenę; jałówka najadła się koniczyny, wzdęło ją, żołądek wypełniony gazami (parami) mało nie pęknie.

Cóż robili? Założyli patyk do pyska, omaziony, przywiązali w poprzek i pędzili co siły, potem polewali grzbiet zimną wodą i ugniatali brzuch pięściami. Dobre to są środki, gdyż sprawiają, że pary łatwiej się odbijają i łatwiej odchodzą kiszką. Także „sięganie" do kiszki może być do celu pomocne, byle nie szukać krwi, nie drapać, lepiej atoli zamiast sięgania dawać enemę z zimnej wody, ku czemu służy osobna szpryca.

Pytam tedy: Zadawaliście co wewnątrz? Wlali nafty. Dobry to środek, ale dać go trzeba z pół litry, lepszy jednak amonjak w ilości około 15 gramów, t. j. łyżkę na butelkę wody z wódką, zadać kilka razy taką samą ilość. Tego nie było pod ręką.

Wapno działa podobnie, ale słabiej. Daje się wody wymięszanej z wapnem gaszonem, t. zw. mleko wapienne, kilka butelek.

Pomaga też ług, tylko nie mocny, albo wprost popiół z wodą.

Tych środków nie było czasu próbować, bo bydlę już chwiało się na nogach i czas był najwyższy wypuścić gazy z żołądka; trzeba było przebić żołądek. Jest do tego osobny przyrząd t. zw. trokar i ten powinien być w każdej wsi, ale nie było go pod ręką. Cóż tu trzeba czynić? Wyjmuję więc zwykły scyzoryk i wbijam śmiałem pchnięciem w brzuch w tem miejscu, gdzie u bydlęcia głodnego jest dołek słabiznowy, po lewej stronie. W tej chwili wydobywają się z sykiem śmierdzące pary, a z niemi nieco zielonej karmy, brzuch opada, zwierzę przychodzi do siebie, niebezpieczeństwo minęło. Wyjmuję nóż, a zakładam w otwór rurkę z pióra gęsiego, aby tędy dalej się wydobywały. Po jakich 2 godzinach kazałem wyjąć rurkę, obmyć ranę, obetrzeć i przyłożyć zwykłej mazi wozowej, aby muchy nie siadały i dać soli glauberskiej na przeczyszczenie. Później dowiedziałem się, że rana w tygodniu się zagoiła i jałówka zdrowa, a byłaby zginęła, pomimo „zdjęcia paskudnika", co już chciano próbować.

Już to z tym „paskudnikiem" cała bieda i prawdę powiedziawszy, wstyd i hańba dla naszego włościaństwa. Częściej niż przy opisanej słabości obwiniają „paskudnika" przy innych chorobach brzusznych u bydła, a są one wielorakie, lecz „znawcy" wioskowi wcale ich nie odróżniają. U nich paskudnik gryzie w brzuchu a wyłazi oczami. Sam słyszałem, jak jeden z nich opowiadał sąsiadom, jakto ten paskudnik się wysuwa. Oczywista więc, skoro takiego złoczyńcę się zobaczy, to pierwsza rzecz, wyciąć go nożem lub zdrapać pazurami i to się nazywa „zdejmowanie paskudnika".

Lecz cóż to jest za stworzenie ten „paskudnik", co gryzie w brzuchu, a wyłazi oczyma?

Otóż nie jest to nic innego tylko t. zw. „trzecia powieka". Bydlę tak jak i człowiek ma dwie powieki, a prócz tego jeszcze chrząstkową w wewnętrznym kącie oka, która w pewnych słabościach wysuwa się i przysłania nieco oko, podobnie jak i górna powieka przemyka się, kiedy bydlę chore.

Nie jestto więc powtarzam, żaden paskudnik, ale część ciała, która nic w chorobie nie zawiniła; jej wysunięcie się jest tylko objawem choroby, jak objawem choroby jest spuszczenie głowy i t. d.

Wycinanie paskudnika jest prawdziwem zastosowaniem przysłowia: „ślusarz zawinił, a kowala powiesili". Ci, co wycinają paskudnika, wydają mi się podobni do takiego warjata, któryby chciał obciąć ogoń bydlęciu, aby się nie gziło. Gzik nie siedzi w ogonie, choć bydlę ogon podnosi, jak go gzik (mucha) napadnie, tak samo nie siedzi choroba w oku, ani w trzeciej powiece, choć ta powieka w pewnych chorobach się wysuwa. Obcinanie jej, lub drapanie i solenie nic a nic nie pomoże, a jest tylko bezcelowem, a więc głupiem dręczeniem zwierzęcia.

Tego głupstwa powinniśmy się pozbyć raz na zawsze, a kto chce się bliżej zapoznać ze sposobami ratowania bydła, to niech czyta książki, które o tem piszą.

Praktyczne rady.

Kawałkami starego chleba usuwa się plamy z papieru lub malowidła ściennego.

Plamy na dywanach czyści się trocinami namoczonemi w benzynie.

Meble politurowane czyści się olejem lnianym i terpentyną w równych ilościach. — Czyścić, pocierać w kółko lekko zwilżoną flanelą.

Rdzę z bielizny wywabia się gotującym sokiem cytrynowym.

Marmur zmywa się wodą z mydłem i amonjakiem. Płukać dobrze.

Czarne plamy na srebrze, powstałe z jajecznych potraw, czyści się solą kuchenną lub sadzą.

KRONIKA.

Ustawa o niepodzielności gruntów. Ministerstwo reform rolnych opracowuje obecnie projekt ustawy o niepodzielności gruntów. Ustawa ta ma dotyczyć tych gospodarstw rolnych, które zostały scalone lub upełnorolnione na zasadzie ustawy o wykonaniu reformy rolnej.

Zemsta kłusowników. Na polach w Brzoskwini został ranny w obie nogi wystrzałami ze strzelby leśny Józef Florczyk z Balic, pow. krakowskiego. Najprawdopodobniej chodzi tu o zemstę kłusowników.

Tragiczna śmierć dyrektora fabryki papieru. Dyrektor fabryki papieru w Czańcu, Jan Chołoniewski, wyszedł onegdaj na przechadzkę do parku. Kiedy do późnych godzin nie powracał do domu, zaniepokojeni domownicy rozpoczęli poszukiwania. Przeszukano starannie park, następnie rozesłano służbę do sąsiedztwa i w okolicę, nigdzie jednak nie natrafiono na ślad zaginionego. Dopiero około godz. 10 wieczór furman p. Chołoniewskiego zaalarmował domowników, że w stawie w parku widział pływające zwłoki topielca. Zaalarmowani domownicy pospieszyli na wskazane miejsce, gdzie przy pomocy łodzi wydobyto zwłoki. Ku przerażeniu wszystkich okazało się, że tajemniczą ofiarą topieli był dyr. Chołoniewski. Wezwany lekarz stwierdził zgon, przyczem pewne ślady wskazywałyby, że bezpośrednią przyczyną śmierci był udar serca. Najprawdopodobniej zatem dyr. Chołoniewski, przechadzając się nad stawem, stracił przytomność wskutek nagłej niedyspozycji serca, wpadł do wody i utonął.

Trup dziewczyny w kominie. W Andrychowie z komina jednej z kamienic w rynku wyciągnięto zwłoki młodej dziewczyny. Jak się okazało, były to zwłoki Kazimiery Jamrozik, służącej, lat 20, zajętej w restauracji Emy Horwath. Jamrozikówna pochodziła z Jawornika Polskiego pow. rzeszowski. Krytycznego dnia Horwathowa zauważyła w jej rzeczach skradzione w restauracji przedmioty, o czem zawiadomiła męża. W czasie gdy Horwathowa wyszła, spostrzegła po powrocie, że służąca gdzieś znikła. Znaleziono ją następnie zanurzoną do pół w lufcie komina. Służąca, gdy ją wydobyto z komina, była martwa. W obawie przed gniewem chlebodawców, jak ustaliło śledztwo, popełniła samobójstwo. Obdukcja zwłok, przeprowadzona przez komisję sądowo-lekarską z Wadowic wykazała, że Jamrozikówna udusiła się dymem.

Bunt więźniów w Bielsku. Więzienie sądu grodzkiego w Bielsku było terenem wybryku, wywołanego przez jednego z więźniów kryminalnych, odsiadującego karę więzienia, Augustyna Prowsta, który począł nagle bez żadnego powodu rozbijać szyby w oknach swej celi, a następnie śród głośnych okrzyków zdemolował jej urządzenie. Okrzyki te powtórzyli aresztanci innych cel, tłukąc za przykładem Prowsta szyby. Wezwana przez zarząd więzienia policja obezwładniła Prowsta i 5 innych awanturujących się więźniów, przywracając zupełny spokój.

Zamach morderczy i samobójczy. W Zakopanem niejaki Antoni Sieja, lat 27 z Sosnowca, wystrzałem z rewolweru w głowę pozbawił życia Genowefę Stodołkiewicz, lat 24, rodem z Sosnowca. Następnie Sieja przy pomocy rewolweru usiłował popełnić samobójstwo, odnosząc jednak tylko ciężkie obrażenie. Sprawcę mordu aresztowano i odstawiono do szpitala więziennego. Przyczyną zbrodni był zawód miłosny.

Zemsta za przegrany proces. W sieni własnego domu został zastrzelony Franciszek Pierzyna, rolnik z Podlęża przez sąsiada Józefa Ścibora. Przyczyną morderstwa była zemsta Ścibora za przegrany proces o grunt. Mordercę aresztowano i odstawiono do dyspozycji władz sądowych.

Masowe zatrucie mięsem. We wsi Kocim, gminy Mykanów, pojawiła się żydówka, proponująca wieśniakom nabycie cielęciny po wyjątkowo niskiej cenie, bo po 50 groszy za kilogram. Włościanie chętnie kupili mięso i urządzili sobie gremjalną ucztę, po której też wszyscy uczestnicy zachorowali poważnie z oznakami zatrucia. Chorych w stanie ciężkim przewieziono do szpitala w Częstochowie, natomiast właściciela cielęciny M. Groumana i rzezaka Lewka Holendra pociągnięto do odpowiedzialności.

Wybuch gazów w kopalni. W głębi kopalni „Modrzejów" w Zagłębiu Dąbrowskiem nastąpił wybuch gazów. Straż kopalni zaalarmowana o wypadku z trudem dotarła do miejsca wybuchu i znalazła zwęglone już zwłoki dwóch górników. Zwłoki były zupełnie zniekształcone. Jeden ze zmarłych miał oderwaną głowę. Na miejsce eksplozji przybyła komisja sądowo-lekarska celem zbadania przyczyn wypadku.

Zabójca z grzeczności. Na stacji kolejowej w Szarleju na Górnym Śląsku znaleziono w budce hamulcowej pociągu towarowego trupa żołnierza. Znaleziono przy nim kartkę, z której wynika, iż zastrzelił go na własne życzenie jeden z kolegów, którego nazwiska nie zdołano ustalić. Na miejsce wypadku udał się prokurator, który prowadzi dochodzenia.

Uparty desperat. W Targówku koło Warszawy na torze kolejowym położył się jakiś mężczyzna, tuż przed manewrującym parowozem. Maszynista zatrzymał parowóz i kazał leżącemu podnieść się. Ale ten nie chciał tego uczynić. Upartego desperata usunięto dopiero przy pomocy policjanta. Okazało się, że jest to Wacław Kuss, kuchmistrz z Warszawy.

Tragiczne zaręczyny. Tragiczny wypadek wydarzył się w Warszawie. Pracownik restauracyjny, Stanisław Żakowicz, po zaręczynach udał się ze swoją narzeczoną, Stanisławą Ogrodzińską, samochodem do kościoła. W pewnej chwili narzeczona oparła się o drzwiczki samochodu, które były niedomknięte i wypadła na bruk, doznając pęknięcia podstawy czaszki.

Dowcipny włamywacz i odważna kobieta. Z Warszawy donoszą: Na ul. Natolińskiej zdarzył się niezwykły wypadek. Oto zamieszkująca w domu Nr. 13 p. Władysława P-ska, kładąc się spać, otworzyła okno w sypialni, a dla bezpieczeństwa położyła pod poduszkę rewolwer. Około 3 w nocy dzielną niewiastę zbudziły podejrzane szmery. Pani P. sięgnęła pod poduszkę po rewolwer i zapaliła światło. Jakież było jej przerażenie, gdy ujrzała nieznanego osobnika, który trzymał już biżuterję w ręku i przekładał nogę za okno, aby wyskoczyć na ulicę. Nie namyślając się długo, odważna kobieta skierowała lufę rewolweru w stronę złodzieja. Huk kilku strzałów wstrząsnął powietrzem, zbir jednak, uśmiechając się złośliwie, przesłał damie całusa i zniknął za oknem, równocześnie zaś rozległ się odgłos szybkiej ucieczki. Nie wierząc poprostu oczom i ręce, która zawiodła, pani P. przyjrzała się również rewolwerowi. O nieba! To nie była jej broń! Cóż się okazało? Oto opryszek, dostawszy się przez okno do mieszkania, przedewszystkiem sięgnął pod poduszkę, aby zabrać schowaną tam przypuszczalnie torebkę z pieniądzmi, znalazłszy zaś rewolwer, ukradł go, zostawiając swój straszak, używany tylko jako zabawka. Potem już bez obawy obrabował szafkę nocną z biżuterji i żegnany kanonadą z podłożonego rewolweru, uciekł.

Pożar dwóch wsi. Wieś Radoszewice pod Wieluniem nawiedzona została straszliwą klęską pożaru, któ-

ry w perzynę zamienił nieomal całą wioskę. Jeden z gospodarzy, wracając późną nocą do domu, spostrzegł kłęby dymu, jakie wydobywały się z zagrody. stojącej w samym środku wsi, a należącej do Wosowskiego Jakóba. Wiatr począł rozrzucać iskry i żagwie na stojące wokół zabudowania gospodarskie, które w mgnieniu oka stanęły w ogniu. Zaalarmowana straż ogniowa natychmiast ruszyła na ratunek, siły jej jednak okazały się zbyt małe, aby podołać żywiołowi. Wezwano więc 6 oddziałów strażackich, które ruszyły na ratunek pogrążonym we śnie mieszkańcom, W jednym z domów, należącym do Jana Furmańskiego, w którym ogień srożył się bardziej, nie zdołano w porę wyratować znajdującego się w izbie dziecka 7 letniej Marjanny Furmańskiej. Dziewczynka poniosła śmierć w płomieniach. Mimo nadludzkich wysiłków straży i chłopów, spłonęło doszczętnie 26 gospodarstw rolnych wraz z martwym i żywym inwentarzem. Straty są olbrzymie i wynoszą ponad 200 tysięcy złotych. W czasie akcji ratowniczej we wsi Radoszewice straż zaalarmowana została drugim pożarem jaki wybuchł w Nowej Wsi gminy Konopnica. Tutaj również z powodu sprzyjającego wiatru ogień rozprzestrzeniał się z ogromną szybkością, przerzucając się z domu na dom. Pierwszy stanął w ogniu dom Wincentego Kraszewskiego. Ogółem spłonęło tam 17 gospodarstw wraz z żywym i martwym inwentarzem. Straty wynoszą około 155 tysięcy złotych. Jak ustaliło dochodzenie policyjne, przyczyną pożaru w Radoszewicach było nieostrożne obchodzenie się z ogniem, w Nowej Wsi zaś zachodzi wypadek podpalenia. Za sprawcą tej zbrodni prowadzone są poszukiwania.

Burza z piorunami. Nad częścią powiatu postawskiego przeszła gwałtowna burza połączona z piorunami, która pociągnęła za sobą ofiary w ludziach W czasie burzy piorun uderzył w zaścianku Huta, w pobliżu Woronajewa w dom Sznajdrów, wskutek czego trzy osoby zostały porażone. We wsi Jacewicze piorun wpadł do mieszkania Jana Nauczyka, zabijając go na miejscu. Burza poczyniła wielkie spustoszenia w zasiewach.

Masakra na weselu. We wsi Smolin Janowski na Polesiu w czasie zabawy weselnej przyszło do bójki, w czesie której pan młody i 3 drużbów zostało zabitych nożami, zaś 8 innych uczestników zabawy doznało kontuzyj.

Wybuch gazów węglowych. W kopalni „Rubens" pod Nową Rudą na Śląsku niemieckim nastąpił wybuch gazów węglowych. 7 górników poniosło śmierć na miejscu, 4 doznało ciężkich poranień. Eksplozja nastąpiła w oszalowanej sztolni, leżącej na 500 metrów pod powierzchnią ziemi. W pobliżu miejsca katastrofy zatrudnionych było stukilkudziesięciu ludzi. Natychmiastową akcję ratunkową rozpoczęli pracujący górnicy po nałożeniu masek gazowych. Wydano zarządzenia ochronne na wypadek powtórzenia się wybuchu.

Zaburzenia i starcia uliczne w Niemczech. Jak donoszą telegramy i gazety codzienne, w Niemczech przychodzi niemal codziennie do zaburzeń i starć ulicznych w tamtejszych większych miastach. Przeważnie powód do tego dają niemieccy komuniści, którzy za pieniądze rosyjskie wywołują wszędzie niepokoje. Nic ich to nie obchodzi, że przy tem przelewają krew, albo i ponoszą śmierć ludzie najniewinniejsi. Celem ich jest mącić, bo tego pragną bolszewicy, bo za to otrzymują od nich grube pieniądze. W ubiegłym tygodniu przyszło do takich zaburzeń w Berlinie, Düsseldorfie, Chemnitz, Dreźnie, Hamburgu i innych miastach niemieckich. Policję, chcącą przywrócić porządek, komuniści obrzucają kamieniami i zasypują strzałami rewolwerowemi. Oczywiście policja odpowiada również strzałami. Od jednych i drugich padają ofiarą tak policjanci jakoteż ludzie zbałamuceni przez komunistów, podczas gdy ci, którzy biorą pieniądze z Rosji, uchodzą bezkarnie, albo wcale nie narażają się na niebezpieczeństwo, W Alsdorfie w ubiegłym tygodniu wielu demonstrantów odniosło rany. Oprócz demonstracyj komunistycznych przychodzi też często w Niemczech do bójek między komunistami a hitlerowcami. I to ma być kraj ładu i porządku, jak sami Niemcy ojczyznę swoją nazywają.

Karjera syna następcy tronu szwedzkiego. Książę Sigurd, drugi syn szwedzkiego następcy tronu i wnuk księcia Connaught obrał osobliwą dla siebie karjerę. Zdecydował się mianowicie zostać dekoratorem teatralnym. Książę Sigurd posiada wybitny talent rysowniczy. Już przed dwoma laty napisał i wystawił sztukę w uniwersytecie upsalskim i namalował dekorację do sztuki, wystawionej w jednym z klubów prywatnych w Sztokholmie. Książę Sigurd widocznie odziedziczył talent po swym stryju, księciu Wilhelmie, który jest wybitnym autorem i reżyserem teatralnym.

Perły wielkości śliwek. Wielkie wrażenie na giełdzie drogich kamieni w Paryżu wywołała wiadomość, otrzymana z Menama w zatoce Perskiej, że na archipelagu wysp Bahrein znaleziono ogromne ławice perłowe, które bogactwem swem przewyższają wszystkie dotychczas znalezione ławice, wzięte razem. Ponieważ nikt dotychczas nie przeszkadzał muszlom perłowym w ich pracy nad wytworzeniem perły, zdołały one w spokoju utworzyć tak wielkie sztuki, że dotychczas najsłynniejsze perły są wobec nich małe. Olbrzymie muszle perłowe, znalezione na tej ławicy, zawierają niemal każda olbrzymią perłę, bądź różową, bądź czarną o niezwykle regularnych, bądź kulistych, bądź też łzawych kształtach. Dochodzą one do wielkości wisien i śliwek. Do Menama zjechało mnóstwo handlarzy pereł, którzy zakupują świeżo odkryte tereny. W związku z tą wiadomością, perły na giełdzie paryskiej znacznie spadły w cenie.

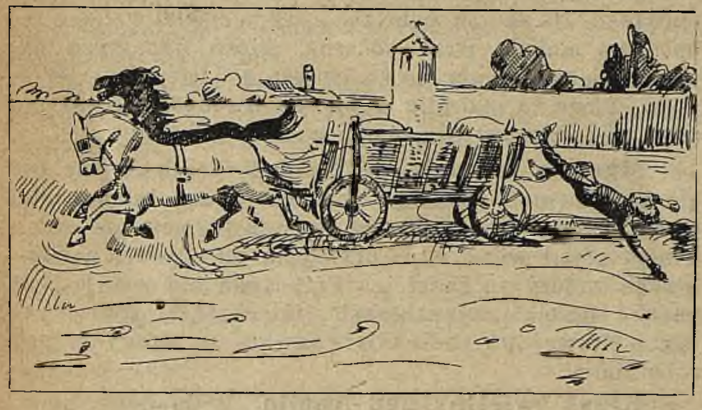
Plaga gąsienic. Miasteczko Cully nad jeziorem Genewskiem nawiedziła w ostatnich dniach plaga gąsienic. Olbrzymie masy gąsienic koloru zielonego, z których niektóre dochodzą do długości 10 cm., oblazły drzewa, ściany i dachy domów a nawet wciskają się do mieszkań. Na skutek uchwały rady miejskiej walkę z robactwem podjęła straż pożarna, która napuszcza dachy i ściany domów cieczą trującą a następnie je spłókuje. Akcja ta natrafia znów na trudności, ponieważ zbyt wielkie masy gąsienic pozamykały kanały.

Masowe zatrucia. W Deauville zachorowało nagle z objawami ciężkiego zatrucia 53 robotników włoskich zajętych przy budowie dworca kolejowego. Jeden z nich zmarł wkrótce po przybyciu do szpitala a kilku innych walczy ze śmiercią. Przyczyna nie jest jeszcze znana. Istnieją przypuszczenia, iż robotnicy spożyli zepsutą strawę, lub padli ofiarą zemsty ze strony innych robotników.

Krzyż świetlny nad Anglją. Z Londynu donoszą, że w ubiegłym tygodniu w nocy zauważono w Anglji niezwykłe zjawisko. Około godziny 11 na niebie w wysokości 5.000 metrów ukazało się czerwono światło bardzo silne, które widoczne było około 5 sekund, a blask jego był tak silny, że cały horyzont był zaróżowiony. Niektórzy z obserwatorów tego fenomenu twierdzili, że światło to posiadało kształt dużego krzyża. Zjawisko jest przedmiotem licznych komentarzy i narazie nie wypowiedziały się co do niego obserwatorja ani sfery miarodajne.

Tragedja rodzinna. Na przedmieściu Londynu w willi „Skalna grota" rozegrała się tragedja rodzinna, której ofiarą padło dwóch braci Ricker, Robert i Wiliam. Jeszcze przed wojną Wiliam zakochał się w pewnej panience i zaręczył się z nią, będąc nawzajem kochany. Ale przyszła wojna i Wiliam musiał iść w szeregi walczących. Brat jego Robert pozostał jednak w domu. Gdy Wiliam wrócił z frontu, zastał szczęście swoje zdruzgotane. Narzeczona kochała jego brata Roberta. Oboje oświadczyli, że mają zamiar się pobrać. Nie doszło do tego. Dziewczyna przerażona nienawiścią obydwu braci, zerwała także z Robertem a w kilka miesięcy została żoną innego. Bracia Robert i Wiliam stracili narzeczoną, lecz obaj kochali ją dalej. I w sercach obydwu braci rosła wzajemna nienawiść, zrodzona z żalu i krzywdy. Jak w piekle żyło tu rodzeństwo. Dwie ich siostry posiwiały przed czasem, świadkami będąc, jak kłócili się z sobą bracia, wymawiając sobie wzajem dawne urazy. Aż przyszło do katastrofy. Oto pewnej nocy wybiegły z willi dwie kobiety i szybkim krokiem zdążały w stronę policjanta, pełniącego służbę. Temu opowiedziały, że bracia ich Robert i Wiliam pokłócili się znowu, lecz tym razem kłótnia przybierać zaczynała tragiczny charakter, więc wzywają pomocy. Oto światło zgasło w willi. Musiało się tam stać coś strasznego. Policjant poszedł z niemi. Willa tonęła w ciemnościach nocy. Weszli. Jedna z sióstr zapaliła światło w pokoju. Z kanapy podniósł się Robert i wskazał na przeciwległy kąt. Tam leżał brat jego Wiliam z przestrzeloną skronią. Siostry krzyknęły przerażone. Na zapytanie policjanta, kto to uczynił, Robert przyznał się do strasznego czynu. Na żądanie policjanta, aby udał się z nim, jako aresztowany, Robert zgodził się, prosząc tylko o pozwolenie zabrania plaszcza i kapelusza. Kiedy wreszcie wyszedł z policjantem, już na schodach począł się słaniać, a gdy go policjant chciał podtrzymać, szepnął: „Nie trzeba — otrułem się!" runął na ziemię, a za chwilę już nie żył. Oto znów nieszczęśliwa miłość pozbawiła życia dwa istnienia ludzkie.

W przystępie rozpaczy. Powodowany nieutulonym żalem po stracie swej żony pewien majętny gospodarz rumuński w straszny sposób pozbawił się życia. Mianowicie do wozu zaprzągnął dwa najdziksze swoje konie i wyjechał za wieś.



Tam w miejscu odludnem nogi swoje przywiązał sznurami do tyłu wozu w ten sposób, że głowa i tułów wlokły się po ziemi. Konie ciągnęły go przez kilka kilometrów. Kiedy wreszcie zdołano konie zatrzymać, nieszczęśliwy był już tylko krwawą masą do niepoznania.

Okropny czyn szaleńca. Kanadyjski okręt pasażerski zawinął onegdaj do portu w Jokohamie, mając na pokładzie 2 trupy i 27 rannych. Były to wszystko ofiary pasażera, który wsiadł na okręt w Honolulu na wyspach Hawajskich i wśród oceanu dostał obłędu. Pewnego dnia wyjął nagle z kieszeni nóż i zaczął na ślepo zadawać ciosy pasażerom trzeciej klasy. Wśród wybuchłej paniki nikt się nie bronił, dlatego tyle było ofiar. Dwóch Chińczyków z załogi, zwabionych przeraźliwym krzykiem, rzuciło się na furjata — i poniosło śmierć na miejscu. Ale tymczasem rzucili się na obłąkanego inni i zdołali go ubezwładnić. Kapitan okrętu oddał nieszczęśliwego władzom portowym. Pasażer zachowywał się zupełnie obojętnie.

Zbrodnie w wąwozie śmierci. W Kalifornji, w okolicy gór Sierra Newada panuje od dłuższego czasu straszliwe wzburzenie. W ciągu kilku zaledwie tygodni nastąpiły, jedne po drugich, potworne zbrodnie, wszystkie popełnione u stóp Góry Duchów w tak zwanym „wąwozie śmierci". Pierwszą ofiarą okropnej góry padł właściciel trzód, Owery Feezer. Ciało jego znaleziono u stóp góry, a na ramieniu jego widniał kabalistyczny znak. Drugą ofiarą była 15 letnia Florence Grist. Dziewczynka wyjechała konno na spacer i zapędziwszy się w poszukiwaniu kwiatów do wąwozu, więcej nie wróciła. Koń jej zjawił się po kilku dniach w domu, a po jakimś czasie pod blokiem skalnym znaleziono ciało dziewczyny. I ona miała kabalistyczny znak na ramieniu. Ostatniemi dwiema ofiarami tajemniczych zbrodniarzy była para młodych narzeczonych. 18 letnia Carmen Wagner udała się na polowanie w towarzystwie narzeczonego Henry Sweeta. Znaleziono ich ciała w straszliwym stanie; nosiły one te same mistyczne znaki. Policja kalifornijska nie ustawała w poszukiwaniach. I oto zwrócono uwagę na szczególną okoliczność. Za każdym razem gdy grzebano ofiary Góry Duchów, na pogrzebie zjawiał się wódz czerwonoskórnych, szczepu Jakua w otoczeniu swych wojowników z żonami i dziećmi. We wrogiem milczeniu Indjanie przyglądali się pogrzebowi. Potem, wciąż milcząc, odchodzili, wspinając się na Górę Duchów, po której zboczach spływała krew Indjan w czasie, gdy „białe twarze" zdobywały Sierra Newada. Spostrzeżono też, że zawsze nazajutrz, po pogrzebie, wysoko na górze zapalały się ognie i rozlegały się dzikie okrzyki, z towarzyszeniem tam-tamu (muzyki). Policja, przybyła celem zbadania łańcucha zbrodni, z San Francisco i Nowego Jorku, zwróciła więc baczną uwagę na Indjan. U jednego z czerwonoskórych, Jacka Ryana, znaleziono zegarek zamordowanej Carmen Wagner; aresztowano więc Ryana i jego przypuszczalnego wspólnika, Waltera Dawida. Aresztowani mruczeli jakieś dziwne zaklęcia i nie odpowiadali na zadawane im pytania. W puszczy, której dotychczas nie tknęła stopa białego człowieka, znaleziono ukryty wśród skał ołtarz ofiarny. Powstało podejrzenie, że zarówno Carmen Wagner, jak i poprzednie ofiary były w całem tego słowa znaczeniu ofiarami, składanemi okrutnemu bożkowi pogańskiemu na ołtarzu przez krwiożerczych czerwonoskórych.

Ślub w więzieniu. W słynnem więzieniu Sing Sing, w stanie Nowego Jorku, przebywa, jak donoszą gazety amerykańskie, człowiek, liczący dziś 60 lat wieku, a który strawił w kaźni połowę swego życia. Człowiekiem tym jest Kanadyjczyk, Al Soney. Skazany w roku 1895 za szereg napadów bandyckich na karę 15 lat więzienia, tak przywykł do swego otoczenia i życia, że po odcierpieniu kary na usilne błagania pozostawiono go nadal w więzieniu. W r. 1911 Al Soney poślubił jedną z przestępczyń, odbywającą jednocześnie karę i z małżeństwa tego posiada dziś pięcioro dzieci, które wszystkie ujrzały światło dzienne w celi więziennej. Al Soney i jego małżonka zarabiają na życie wyrabianiem zabawek z gumy i surowego kauczuku, dzieci zaś wychowują się w szkółce więziennej.

RZECZY CIEKAWE.

Zabobony.

Ciekawe zwyczaje panują u ludu naszego przy sprzedaży inwentarza żywego. Na Mazurach naprzykład, przy wyprowadzaniu sztuki bydła na targ, wyrywają jej pęczek włosów i zakopują pod żłobem. W Tarnowskiem wyrywają ociupinę sierści i przykrywają na rogu pieca chlebowego, potem okadzają nią pozostałe bydło, aby się nie „popśniło". W pow. nowotarskim wyrwaną z bydlęcia sierść wkładają w szparę od podłogi, żeby się przychowek trzymał. W pow. sądeckim 3 razy wyskubują sierść i rzucają do chlewa, iżby się żywina darzyła. W pow. janowskim, ażeby krowa nie ryczała po sprzedanem cielęciu, wyrywają mu kilkanaście kłaków i oblepione chlebem dają matce do spożycia. W pow. wadowickim zaś rzucają sierść do skopka, napełnionego wodą i dają krowie pić, aby pełny skopek mleka dawała. W południowej części Małopolski nabywca cielęcia wyrywa z niego pięć szczypt sierści: pierwszą, by się krowa dobrze chowała; drugą, żeby dużo mleka dawała; trzecią, aby masło od niej było ładne i smaczne; czwartą na ser; piątą wreszcie, iżby się krowa „pognała". Na Podlasiu wyskubują z cielęcia sierść z grzbietu i z pomiędzy tylnych nóg i dają krowie zjeść z ziemniakami.

W powiecie dobromilskim, gdy baba sprzedaje kurę, obcina jej ogon, kładzie na piec i zalepia gliną. aby się kury domu trzymały. Na Wołyniu zakupione gęsi obsypują popiołem, aby nie uciekały z domu, z pod skrzydeł zaś wyrywają grube pióra i zatykają za belkę.

We wszystkich tych zabiegach przejawia się obawa, ażeby za czemś sprzedanem nie poszedł pozostały dobytek, lub moc z nim związana. Naturalnie, że to są przesądy i rozsądniejsi gospodarze tego już nie czynią. *Czesław Wośkowski.*

Nowoczesny Łazarz.

Pewien robotnik, który pracował w dokach elektrowni w Cleveland, został uderzony zerwanym z żórawia koszem węgli i stracił przytomność. Udzielono mu pierwszej pomocy na miejscu, lecz zanim przywieziono go do szpitala św. Jana, człowiek ten nie żył. Serce bić przestało, a oddech ustał. Dr Otte nie dał jednak za wygraną, zabrał się energicznie do nieboszczyka i zastrzyknął w serce dozę adreliny, substancji krystalicznej, będącej ekstraktem gruczołów, znajdujących się powyżej nerek zwierząt. Adrelina ma być świetnem lekarstwem na wszystkie niedomagania sercowe. Po zastrzyknięciu tego lekarstwa nieboszczyk ożył a serce zaczęło bić z szybkością 180 uderzeń na minutę. Wtedy Dr Otte zastosował sztuczne oddychanie metodą Schaffera i ocalił życie tego robotnika. W międzyczasie pielęgniarka wstrzykiwała dwukrotnie w ciągu pięciu minut preparat kofeiny, sody i benzoesu w ramię pacjenta dla wzmocnienia oddechu. Pierwszym objawem powrotu do życia był przeciągły oddech chorego, który powtórzył się w kilka minut później podczas ustawicznego stosowania sztucznego oddechu, poczem zaczął on oddychać regularniej, raz na dwie sekundy. Przeciągły drugi oddech pojawił się za 10 sekund po pierwszym, a następnie w odstępach 5 sekund. Zachodziła jednak obawa, że śmierć powróci. W ciągu 24 godzin zastrzyknięto temu robotnikowi 3.000 cm^3 rozczynu zwykłej soli pod główny sercowy muskuł piersi, ażeby rozwodnić krew i zniszczyć toksyny t. j. jad, wytwarzany przez bakterje. Następnego dnia zastrzyknięto podobnie 2.000 cm^3 takiego rozczynu soli i taką samą ilość w trzecim dniu. W tym czasie zauważono objawy kompletnego paraliżu jednej połowy ciała i nieprzytomność wracała. Po tych wszystkich lekarstwach nastąpiła silna gorączka, aż wyrzuty pokryły wargi chorego, co uważano za pomyślny objaw, wskazujący na normalną funkcję serca. Lecz ta funkcja okazała się później zwodniczą, bo serce biło raz po 10 uderzeń, a następnie po 90 na minutę. Zastrzyknięto potem pewne lekarstwo w stos pacierzowy pacjenta, aby zredukować ciśnienie, co powtarzano częściej i tak zwolna lecz stale po 6 tygodniach pacjent odzyskał zdrowie i siły.

Najszybszy pisarz na świecie.

Manja rekordów ogarnęła za przykładem Ameryki również i starą Europę. Oto londyńskie gazety donoszą o nowym rodzaju rekordu, ustanowionym przez angielskiego autora E. Charlesa, który napisał powieść w ciągu... 5-ciu dni. Tę „rekordową" powieść drukuje już w tej chwili jeden z wielkich dzienników angielskich. Pięć dni — jest to już nielada krótki czas. Okazuje się jednak, że nawet i ten termin jest możliwym do prześcignięcia, gdyż znów niedługo potem dzienniki doniosły, że ten sam autor... pobił własny rekord, prześcigając samego siebie i pisząc powieść w ciągu... dwóch dni.

W zestawieniu z tem warto pamiętać, że np. taki Flaubert pracował nad jedną powieścią całemi latami i że na pięć zapisanych kart niszczył cztery.

Strzelająca ryba.

Dr Hugh M. Smith, odkrył dziwną rybę, która strzela kroplami wody do owadów. Dr Smith, który jest obecnie doradcą od rybołóstwa przy rządzie siamskim, wrócił niedawno z Bangkok'u do Washingtonu, gdzie opowiadał o swych doświadczeniach. Mała ta rybka potrafi swój płynny pocisk tak celnie rzucić, że byłaby w stanie zgasić papieros palacza. Skoro „strzelająca ryba" zauważy jakiś owad, który upatrzyła sobie na obiad, wysuwa spokojnie głowę ponad wodę, trzymając się pod kątem 45 stopni, otwiera paszczę i w tym samym momencie zamyka nagle pokrywkę oskrzeli. Kropla wody, która wystrzela, rzadko tylko chybia. Dr Smith zaobserwował, jak ryby te swemi pociskami wodnemi rozpędzały nawet małe jaszczurki.

Urodziny na północy i południu.

Dokładne badania uczonych europejskich i amerykańskich wykazują, że najwięcej urodzin przypada na półkuli północnej w zimie, a najmniej w lecie. Na półkuli południowej zaś jest odwrotnie.

Czy morze zaleje kiedyś Europę?

Temat ten był oddawna przedmiotem uczonych i laików. Wiadomo nam, że od północy Europa nie jest osłonięta żadną naturalną barjerą i wskutek tego podniesienie się dna morskiego, albo opadnięcie wybrzeża może spowodować zalanie północnej Europy falami morza. Jedna z autorek francuskich napisała nawet na ten temat całą powieść, w której opisuje taką inwazję oceanu. Czy fantazja taka wytrzymuje krytykę naukową? Trzeba niestety odpowiedzieć twierdząco. Istotnie wybrzeże morskie pod-

lega niejednokrotnie podniesieniu i obniżeniu, a najbardziej typowym tego przykładem są kolumny świątyni Serapisa obok Pozzuolo we Włoszech. Ciekawe są te słupy. Cały dalszy ich pas kilkumetrowy jest podziurawiony, a wydrążenia te zrobiły muszle, żyjące tylko w słonej wodzie. Skorupy tych muszli znaleziono również obok słupów. Jaki stąd wniosek? Oto jedynie ten, że słupy te przebywały jakiś czas w wodzie morskiej. Mogło to się stać wskutek tego, że wybrzeże, nad którem świątynia się znajdowała, zapadło się... Kiedy to się stało, nie wiadomo. W każdym razie w epoce jeszcze przedchrześcijańskiej. Później teren znów się podniósł, ale ślad pobytu w morzu pozostał. Nie były to ruchy gwałtowne, bo w przeciwnym razie słupy te zostałyby zgruchotane. Co jest przyczyną tych zjawisk? Przemiany chemiczne, zachodzące w pokładach ziemi, przyczem one zyskują albo tracą na objętości. W pierwszym wypadku takie „puchnięcie" powoduje podnoszenie się terenu, w drugim „chudnięcie" — opadanie! Fakt z ruchem terenu w Pozzuolo był lokalny. Gdzieindziej brzeg morza opada lub wznosi się na większym obszarze. W różnych punktach wybrzeży Skandynawji stwierdzono takie ruchy o rozmaitej sile. Północna część wznosi się o 1½ m. na sto lat, południowa zaś opada. Zauważono również podnoszenie się zatoki Hudsońskiej, która wskutek tego za jakie 200 lat całkiem zniknie. Jest więc teoretycznie możliwe i opadanie wybrzeży Europy. Ponieważ taki proces jest dziełem wieków, więc z pewnością ludy nadmorskie protrafiłyby, podobnie jak Holandja, znajdująca się dzisiaj niżej poziomu morza, odpowiedniemi środkami zabezpieczyć się przed niebezpiecznym wrogiem. *(Ergo...)*

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Władysław Mikosz** w U. S.: Otrzymaliśmy nie trzy, ale tylko dwa utwory. Wiersz p. t. „Cwał", jakkolwiek zupełnie dobry, nie nadaje się do „Roli", gdyż czytelnicy nasi nie znają wiersza „Kłusem", na który on jest odpowiedzią. „Kjan" napisany również dobrze, przeznaczamy go więc do druku. O ile Pan nadeśle jakąś nowelkę, a będzie dobra, chętnie ją zamieścimy. — **Józef Sroga** w K.: Nadesłane wierszyki, o ile miejsce pozwoli, wydrukujemy. — **Józef Pachołek** w K.: Wierszyk słaby, natomiast „Rozwiane szczęście" zajmująco napisane, ale zawiera niektóre momenty drastyczne, przeto nie nadaje się do „Roli". — **Wojciech Lorenc** w Ł.: Gdybyśmy chcieli wydrukować wszystkie zagadki, które posiadamy w tece, trzebaby na to conajmniej z dziesięć całych numerów „Roli". Dlatego więc i Pańskie czekają tam na swą kolej. — **August Wasylecki** w T.: Czy Biblijoteka Domu Polskiego istnieje, nie wiemy. A może Pan zapytuje o adres Domu Książki Polskiej, to ten brzmi: Warszawa, plac Trzech Krzyży L. 8. — **Józef Foryś** w K.: Wierszyki niezłe, więc o ile się kiedyś miejsce znajdzie, wydrukujemy je. — **Edward Cygan** w J.: „Przy mogilnej płycie" napisane dobrze i zajmująco. Jedno tylko razi w całości, a mianowicie, dlaczego Zygfryd, rycerz dzielny, tak bez oporu kładł głowę pod miecz katowski? Dlaczego nie bronił siebie i swej umiłowanej, kiedy był niewinny? A wreszcie, dlaczego jego towarzysze nie pospieszyli mu z pomocą. Brak tu więc umotywowania zaszłych wypadków. Z takiem poddaniem się może iść na śmierć tylko człowiek święty, a nie rycerz-rozbójnik. Wartałoby to zmodyfikować, a wówczas rzecz byłaby dobra do druku. — **Kazimierz Wardała** w L.: Za miły dla mnie upominek imieninowy serdecznie dziękuję i łączę uprzejme pozdrowienia. — **Franciszek Surówka** w W.: Zamieścimy w następnym numerze. — **Henryk Biłka** w O.: O ile miejsce pozwoli, zamieścimy. — **Jan Żmuda** w St.: List Pański przekazaliśmy firmie I. H. Zuckerman w Krakowie, która w sprawie kupna młocarni stosownych wyjaśnień udzieli. W sprawie podatku względnie patentu na tego rodzaju przedsiębiorstwo, niech się Pan zwróci do Izby skarbowej w Krakowie, załączając opłaconą kopertę na odpowiedź, to Pana objaśnią. Prenumerata i na rok przyszły zapłacona. Łączymy wzajemne pozdrowienia.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Wytwór z żywicy.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Zakonnik.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Imię żeńskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Państwo staroż.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Zawód
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Naczelnik.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Państwo staroż.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Zawiadomienie.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Chory inacz.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Groby podziemne.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Rywal.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Miasto biblij.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Koleżeństwo.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆	Imię męskie.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko zmarłego już poety ludowego.

2. Układanki geograficzne.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

1. Imię żeńskie = ?
2. Imię żeńskie = ?
3. Imię żeńskie = ?
4. Zwierzę drapieżne = ?

3. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Karol Sypósz z R.).

1. Z jakiej liny szyją suknie?
2. Jaka rata jest jak łata?
3. Jakie litery kończą się na cki?

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

4. Na jakie raki polują myśliwi?
5. Jakie maki mają po cztery nogi?
6. Jaki kat jest powieszony na publicznem miejscu?
7. Jaki wiek nie musi mieć sto lat?
8. Jaki dzień trwa najdłużej?
9. Jaki kół potrzebuje pożywienia?

4. Arytmograf graficzny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

1	2 +	3	4	Wstawiając zamiast liczb
5	6 +	7	8	i krzyżyków litery ułożyć
9	10 +	11	12	9 nazw miast polskich
13	14 +	15	14	w ten sposób, aby litery
12	6 +	12	16	na miejscach krzyżyków
17	10 +	18	19	czytane z góry na dół
12	6 +	4	20	dały nazwę jeszcze jedne-
21	25 +	10	17	go miasta w Polsce.
22	6 +	19	20	

5. Bilet wizytowy.

Eweliśka Lichoc
Tuła.

Z liter powyższego adresu ułożyć zawód tej osoby

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 26 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 23 „Roli": 1. Logogryf: Mikołaj Kopernik. 2. Szarady: I. Jaja. II. But. 3. Szarady: I. Granaty. II. Okrasa. 4. Kalambur: Katar-rata. 5. Bilet wizytowy: Kierownik szkoły powszechnej. 6. Zagadki humorystyczne: I. Myszołowy. II. Chłopicki. III. Latawiec.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Lorenc Wojciech z Ł., Teofil Burman z K., Józef Cieplik z K.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Cieplik z K. i Wojciech Lorenc z Ł.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

„Boże odpuść!“

W pewnej miejscowości amerykańskiej starzec 70-letni brał ślub z panną 17-letnią i prosił proboszcza o przemowę.

Proboszcz idąc za tem życzeniem, miał mowę, a zaczął od cytatu:

„Boże odpuść im, bo nie wiedzą co czynią“.

Pan i żyd.

— Czemu ty Icku nie wędrujesz do Brazylji?

— Wielmożny panie, my biedne żydki nie lubimy się naprzód wypichać. Niech tam pojadą chłopy, niech panowie pojadą, niech się dobrze zagospodarują — to i my się tam znajdziemy.

Ksiądz katecheta

mówi w szkole do dzieci:

— Dobre uczynki prowadzą do nieba.

Następnie wywołuje jednego z chłopców i pyta:

— Janku, powiedz mi, co trzeba czynić, aby się dostać do nieba?

Janek: Trzeba najpierw umrzeć...

Giełda płodów rolniczych

z dnia 16 czerwca b. r.

Pszenica	31·50—32·00	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto .	28·50—29·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	32·00—34·00	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	44·50—45·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	56·00—58·00
Siano słodk.	14·00—15·00	Otręby pszen.	17·00—17·50
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	19·00—19·50
Koniczpastew.	18·00—20·00	Mąka czerw.	22·50—23·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 16 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 1·06 do 1·18 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·16 zł.
Woły . .	od 1·10 do 1·20 zł.	Cielęta .	od 1·10 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·96 do 1·07 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·26 do 1·36 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·70 do 1.80

Zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.